RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK 1930. ZESZYT

WARSZAWA

TREŚC N... EGO.

DZIAŁ KOBIECY:

KĄCIK DLA DZIECI:

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 8	Ameryka	dolary 2
Francja	frank. 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.; KWARTALNA — 2.50 zł. Cena POJEDYŃCZEGO numeru 1.— zł.

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-15 i 436-18; Redakcji 503-59. P. K. O. 14664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3—5 popołudniu. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.



SZYBKOŚĆ KOMUNIKACJI POWIETRZNEJ

Chociaż komunikacja powietrzna istnieje u nas od 8-miu lat i samoloty obecnie kursują codziennie ze stuprocentowem bezpieczeństwem zupełnie regularnie na wielu linjach, szeroka publiczność nie orjentuje się, że dzięki tej komunikacji bardzo poważnie zmniejszyły się odległości.

Ażeby uzmysłowić sobie, jak komunikacja powietrzna zbliża do siebie poszczególne miasta nie od rzeczy będzie przytoczyć czas podróży pociągiem pośpiesznym i samolotem na poszczególnych odcinkach:

Warszawa—Katowice	pociąg pośpieszny godzin:	6.07	samolot godzin:	2.00
Warszawa—Lwów	„ „ „	9.35	„ „	2.45
Warszawa—Poznań	„ „ „	5.26	„ „	2.00
Warszawa—Bydgoszcz	„ „ „	5.21	„ „	1.45
Bydgoszcz—Gdańsk	„ „ „	3.08	„ „	1.15
Katowice—Kraków	„ „ „	1.40	„ „	0.45
Katowice—Wien	„ „ „	9.43	„ „	2.45
Katowice—Brno	„ „ „	8.00	„ „	2.00
Brno—Wien	„ „ „	5.00	„ „	1.00

Jak widzimy, samolot skraca czas podróży trzy do pięciokrotnie.

Dla dalszego zobrazowania przytoczymy, jak daleko możnaby było dojechać najszybszym pociągiem, wyjechawszy nim o jednej i tej samej godzinie równocześnie z samolotem i jadąc w tym samym kierunku.

Podczas gdy samolot będzie już u celu podróży, to pociąg na linji:

Warszawa—Katowice	przyjechałby zaledwie do	Piotrkowa
Warszawa—Lwów	„ „ „	Nałęczowa
Warszawa—Poznań	„ „ „	Zgierza
Warszawa—Bydgoszcz	„ „ „	Kutna
Bydgoszcz—Gdańsk	„ „ „	Smętowa
Katowice—Kraków	„ „ „	Trzebini
Katowice—Wien	„ „ „	Piotrowic
Katowice—Brno	„ „ „	Zebrzydowic
Brno—Wien	„ „ „	Breclavy



RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

SPIS RZECZY

NA ROK

1929

Str.

Aktualja.

Historja.

Krajoznawstwo.

Str.

Malarstwo.

Na falach czasu.

Nowela i powieść

RODZINA POLSKA
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
ROK IV. WARSZAWA, STYCZEŃ 1930

PRZED STU LATY

W rozpoczynającym się roku 1930 obchodzić będziemy setną rocznicę wybuchu powstania listopadowego, niezmiernie doniosłego faktu w porozbiorowych dziejach naszego narodu.

Po upływie stulecia mamy już sąd jasny o genezie i istocie zbrojnego czynu, wywołanego przez młodych zapaleńców, a tak nieszczęśliwie zakończonego. Możemy śmiało twierdzić, iż noc listopadowa była koniecznością historyczną, której nie można było uniknąć i że klęska, która następnie spadła na naród, była jednak płodną w następstwa nietylko ujemne.

Rządy carów rosyjskich w Polsce, nie liczące się z prawem, stwierdziły najwymowniej proroctwo Kościuszki, iż los Królestwa Kongresowego, połączonego z Rosją to „los naczynia glinianego, uwiązanego przy żelaznym dzbanie".

Badania historyczne nie pozostawiają już dziś najmniejszej wątpliwości, że carat dążył do całkowitego zniesienia odrębności Królestwa i gotował mu przyszłość gubernij rosyjskich. Rzecz jasna, iż w takich warunkach nie było również mowy o jakichkolwiek swobodach narodowych na Litwie i Rusi. Bez wybuchu powstania armja polska skrwawiłaby się niepotrzebnie, walcząc o tron Ludwika Filipa i przeciw Belgji, Królestwo zaś zalałyby wojska rosyjskie — jak planował Mikołaj I. Rządy Paszkiewicza przyszłyby wcześniej czy później, chociażby Królestwo Polskie znosiło najpokorniej tyrana W. Ks.Konstantego i gwałty nasłanych senatorów moskiewskich.

Upadek powstania 1830—1831 r. to przedewszystkiem skutek rozdwojenia w społeczeństwie polskiem. Na szczytach brakło wiary w powodzenie akcji zbrojnej, żyła natomiast złuda, iż jednak pomimo wszystko związek z Rosją winien być utrzymany i może być korzystniejszy dla nas w przyszłości. Gdy się zdobyto wreszcie na jasne postawienie sprawy i zamiast działań ściśle obronnych oręż polski zwrócono z akcją zaczepną, gdy pomyślano o rozszerzenie powstania na Litwę i Ruś — było już zapóźno. Obecnie ze smutkiem zdajemy sobie sprawę, że przy innym stosunku społeczeństwa do powstania, przy umiejętniejszem prowadzeniu akcji wojskowej — wojna łatwo mogła zakończyć się naszem zwycięstwem.

Po upadku powstania kwiat narodu znalazł się na emigracji, w kraju natomiast zostało wszystko co było słabsze. Ucisk zmagał się z rokiem każdym, ale wzmagała się jednocześnie i odporność prześladowanych, słabi przeistaczali się w silnych.

Kto zaręczy, iż bez powstania listopadowego, stopniowe niszczenie resztek wolności nie doprowadziłoby do ostatecznej demoralizacji społeczeństwa, że niewola, nie napotykająca oporu, nie wyżarłaby nam serca i duszy. Ugodowość staćby się musiała wówczas zasadniczym programem polityki narodowej, a nic właściwie nie wróżyło powodzenia tej kompromisowości.

Tymczasem pomiędzy Rosją a Polską stanęła krew, przelana przez powstańców listopadowych, bohaterów z pod Stoczka, Grochowa, Wawra, Iganiów i Woli.

Na emigracji wyrosły wielkie skrzydła duszy polskiej, idea wolności w nieśmiertelnym blasku poezji — poprzez obce kraje, poprzez najeżone bagnetami kordony na ciele rozćwiartowanej Ojczyzny — niosła pod polskie strzechy zarzewie nie wygasającego buntu przeciw krzywdzie i przemocy.

Długą była zimna noc niewoli, przerwana znowu w 1863 r. orężną próbą zrzucenia kajdan — ale wśród tej nocy kiełkowały wciąż nasiona wolności, rzucone przez bohaterów listopadowych, aż przebiły martwą skoruję przemocy obcej i wydały bujny plon niepodległości.

Pomimo cieniów, które padają na powstanie listopadowe, pomimo przykrej świadomości, że przed stu laty nie wykazaliśmy dostatecznej dojrzałości i roztropności politycznej — powstanie to otacza i otaczać będzie aureola legendarnego piękna. Żyje ono w romantycznej polskiej pieśni, nieśmiertelne w swej krasie bohaterskiego porywu ujarzmionego narodu.

I wieki upływać będą, pokolenia zmieniać pokolenia, zmiany głębokie czas czynić będzie na obliczu Ziemi Polskiej, ale grzmieć będzie zawsze Chwała Zwyciężonym, którym nie dano było powitać Jutrzenkę Swobody, ale którzy krwią swą ofiarną, swym czynem orężnym utorowali potomnym drogę do Zbawienia Słońca.

LEON RADZIEJOWSKI.

DWA POWSTANIA

„Z kości ofiarnych — pisał prof. Henryk Mościcki — z tego bezimiennego relikwiarza narodowego męczeństwa brała insurekcja listopadowa błogosławieństwo. Dziwny traf skojarzył czyn powstaniowy młodzieży belwederskiej z pierwszą powszechną o niepodległość walkę.

...Złą losów ironją przewodnictwo powstania dostawało się u nas w ręce tych, co związek Polski z Rosją uważali za nierozerwalny. W tem tkwiła tragedja.

Wybuch 29 listopada zniósł od pierwszego zamachu konstytucyjną władzę naczelną Królestwa Polskiego, z gruzów Rady Administracyjnej powstał już rewolucyjny Rząd Tymczasowy, przekształcony wolą Chłopickiego na ściślejszą Radę Najwyższą. Atoli wciąż jeszcze koło dyktatora szukano, czekano porozumienia się z Mikołajem, unikając ostrego odstrychnięcia się od prawno-politycznych założeń Królestwa. Tym sposobem stawał się Chłopicki w Warszawie stróżem i poręczycielem kombinacji, którą Lubecki podejmował się przeprowadzić w Petersburgu.

Wypadki zatem w Warszawie miały odegrać rolę niejako przymusu wobec Mikołaja, celem osiągnięcia tych gwałtownych dotychczas na każdym kroku gwarancyj konstytucyjnych, jakich nie zdołano uzyskać na drodze legalnej. Dlatego również kierownictwo powstania powstrzymywało wszelką śmielszą inicjatywę strategiczną, by nie wkroczyć poza warunki traktatów przywiązujących Królestwo Polskie do Rosji; dlatego więziono wojska w granicach Królestwa, zwlócząc z podjęciem instynktowo uświadamianego przez społeczność, a jedynie wówczas racjonalnego hasła ruszenia na Litwę, gdzie za Niemnem i Bugiem „było prawdziwe życie powstania polskiego".

Bitwa grochowska na chwilę tamte kunktatorskie zabiegi poddała w wątpliwość. Przy nowym wodzu Skrzyneckim, pomyślna reorganizacja wojska znów najśmielsze otworzyła widoki. Zaczął się istotnie kwiecień od rozległej ofenzywy polskiej i wygranych pod Dębem i Iganiami; zakończył — zmarnowaniem zyskanych korzyści i chybieniem wyprawy wołyńskiej Dwernickiego. Tu był punkt przełomowy. Niebawem przyszła klęska pod Ostrołęką i marsz Paskiewicza na Warszawę. Chybiła spóźniona wyprawa litewska. Odebrano wreszcie, po niewczasie, dowództwo naczelne Skrzyneckiemu. Wybuch terorystyczny w Warszawie, upadek Rządu i kolejne zmiany w dowództwie, wreszcie szturm i wzięcie stolicy zamknęły tragedję listopadową.

Daleki był jednak od nieszczęśliwych dyplomatyzowań żołnierz polski z r. 1830—1831. Z bagnetem w ręku szedł walczyć za najświętszą sprawę „rękami czarnemi od pługa" zdobywał armaty i czuł, że wszystkoby mógł zdziałać, gdyby nie fatalna moc niewiary, niszcząca w zarodku najzbawienniejsze poczynania. I stało się, że każdy żołnierz, idący na śmierć, bieglejszym był politykiem i strategikiem, niżeli wodzowie naczelni".

Nam dziś chodzi o co innego — oto patrząc na powstania nasze wogóle, musimy dojść do tego przeświadczenia, jakie towarzyszyło pracy Chołoniewskiego,



Generał Jan Skrzynecki



Piotr Wysocki



Generał Józef Sowiński.



Generał Józef Dwernicki.

w jego rehabilitacji polityki powstańczej w Polsce. dziś zwłaszcza, z perspektywy Polski niepodległej.

Powstania polskie, które wypełniły cały wiek XIX, a z których żadne nie osiągnęło choćby w części zamierzonego celu, tylko wciąż pogłębiało polską niedolę, wywoływały w opinji narodowej do ostatnich czasów dziwną dwoistość sądu. Żywioły z natury swej zapalne i powodujące się uczuciem, jak młodzież, kobiety, a także wszelkie elementy radykalizujące, odnosiły się do wszystkich powstań polskich niejako zasadniczo z uwielbieniem.

Kult powstań przez te żywioły utrzymywany, odegrał w życiu polskiem tak wielką rolę, że można nieomal powiedzieć, iż zamiast wywołać w narodzie ostrożność wobec bezskuteczności powstań i nieufność w tego środka działania, to przeciwnie, jedna katastrofa powstańcza przyczyniła się u nas do wywołania drugiej, następnej, jeszcze bardziej katastrofalnej.

Obok tych entuzjastów bywali w Polsce i przeciwnicy powstań, przeciwnicy bądź doraźnie pewnego określonego ruchu powstańczego, bądź zasadniczo — polityki powstań.

Tak w chwili powstania listopadowego przeciwni powstaniu byli najtężsi ludzie, jakich Polska naówczas miała, jak bożyszcze młodego pokolenia armji Chłopicki, znakomity mąż stanu, minister skarbu Lubecki, wielu generałów, oraz znaczna część posłów sejmowych. Z wyjątkiem Lubeckiego, który w dalszej perspektywie miał na oku ewentualność federacyjnego złączenia się Polski i Rosji, nie było wtedy jednak zasadniczych przeciwników polityki powstańczej.

Powstanie styczniowe w fazie swego formowania się miało przeciw sobie, nie mówiąc o margr. Wielopolskim i jego nielicznych adherentach, stronnictwo białych, które następnie dało się jednak porwać rwącej fali wypadków. Dopiero po nieszczęśliwem rozstrzygnięciu się ostatniego powstania, w lat kilka i kilkanaście wyłonił się w postaci t. zw. stronnictwa stańczykowskiego w Krakowie, a raczej jego historjozoficznego odpowiednika, prąd, potępiający zasadniczo prowadzenie polityki powstań w Polsce. Straszną próbę tego stanowiska mamy w rozsądnem zresztą dziele Stanisława Koźmiana „Rok 63". Zaiste, na całym obszarze dziejów jedna tylko Polska musiała być tak bezlitosna dla własnych cierpień...

Przeciwnicy powstań, to znaczy ci, co, jak Koźmian, dowodzili, że w przeszłości były one dla Polski nieszczęściem, a na przyszłość stały się niemożliwością, mieli zupełnie łatwe zadanie, aby swe twierdzenia uzasadnić. Nieudane powstania, podobnie jak przegrane wojny, musiały na stronę przegrywającą, to zn. na Polskę, z natury rzeczy ściągnąć ciężar przegranej, ciężar o tyle trudny do udźwignięcia, że wróg Polski był wyjątkowo nikczemny i złośliwy, bez względu na to, czy był to wróg triumfujący w Warszawie, czy w Poznaniu. Jakoż istotnie w strasznem położeniu, w jakie wpędziły nas rozbiory, spadaliśmy coraz niżej właśnie dzięki powstaniom.

Dnia 29 listopada 1830 r., kiedy garść popychała Polskę do wojny z Rosją, mieliśmy do zaryzykowania posiadanie małego państewka polskiego, takiego, jakie utworzył kongres wiedeński, posiadanie króla, armji, sejmu i rządu polskiego. Te wszystkie rzeczy straciliśmy wskutek powstania, ocalając z nich zaledwie szczątki.

Zagniewany na Polaków car moskiewski i zdetronizowany król polski Mikołaj, dotknięty osobiście detronizacją i wypowiedzeniem sobie wojny, odebrał kongresowemu Królestwu Polskiemu konstytucję, a pozostałe jeszcze strzępy praw, mających służyć żywiołowi polskiemu, umieścił w „Statucie Organicznym".

W dwa lata zaledwie potem niefortunna i szaleń-

cza wprawa Zaliwskiego doprowadziła do zniesienia także i „Statutu Organicznego".

Niebawem miały przyjść czasy tak ciężkie, że na tle ich nawet i ów „Statut Organiczny" mógł się wydawać zbiorem bardzo cennych praw narodowych. Te czasy przyniosły za sobą następne powstanie, styczniowe.

Teraz rusyfikację, która nie była jeszcze dotknęła ziem rdzennie polskich, rozciągnięto na Królestwo, poddając tej rusyfikacji całe życie publiczne, a w części nawet prywatne. Wyrok zagłady wydany został tym razem nie już na jakiekolwiek prawa Polaków na Litwie i Rusi, bo tych praw oddawna wcale nie było, ale na samo istnienie żywiołu polskiego.

Murawiew w Wilnie, a Berg w Warszawie zainaugurowali system, którego celem było wręcz wytępienie Polaków, jako oddzielnego narodu. Co gorsza, podczas gdy dotychczas można było mieć nadzieję, chociaż wątłą na zmianę tych stosunków, opierać się na tem, że kiedyś wezmą górę w Rosji czynniki spokojniejsze i bardziej ludzkie, to teraz i ta nadzieja znikła.

Carat umiał wzbudzić w społeczeństwie rosyjskiem nacjonalistyczną reakcję, która na całym obszarze rosyjskiego życia wzięła górę.

Kto zadał sobie mały trud dokładniejszego obznajmienia się z motywami, przebiegiem i następstwami ostatniego z naszych ruchów zbrojnych, ten przychodził zwykle do wniosku, że było to jedno z największych nieszczęść, jakie w Polskę kiedykolwiek ugodziły, a jednocześnie przez owo skrajne negatywne wrażenie, jakie rok 63 po sobie zostawił, a którego książka Koźmiana była najwybitniejszym wyrazem, rozciągnęło się mimowoli na wszystkie porozbiorowe próby poprawienia naszego losu z bronią w ręku, na samą zasadę polskiej polityki powstań.

Taki stan rzeczy utrzymał się do wczoraj.

Po wielkich rozstrzygnięciach, jakie zapadły w wojnie światowej w r. 1918, sąd o polskiej polityce powstańczej musi ulec rewizji, a niezawodnie i zmianie.

Bo czemu zawdzięczamy ten wiekopomny fakt, że potęga państw skoalizowanych oświadczyła się za potrzebę odbudowania Polski?

Zapewne, że różnym okolicznościom ale wśród nich i tym strzępom glorji, w jają niegdyś przyodziały Polskę nasze wielkie walki o wolność, strzępom, które poprzez okres zupełnego zapomnienia i przemilczenia Polski w Europie dotrwały aż do naszych czasów. Nie ulega wątpliwości, że w decyzji Wilsona, aby do warunków pokojowych wstawić odbudowanie Polski, jakąś rolę odegrać musiała pamięć o tem, że polscy bohaterowie Pułaski i Kościuszko walczyli, a pierwszy z nich nawet zginął za wolność Ameryki. Pokrewny motyw znalazł się w koalicji europejskiej.



Powstaniec Lewiteaux (Francuz) w Cytadeli 1863 r.

W jednej z rozmów dziennikarskich, która powinna zostać naszym drogocennym dokumentem historycznym, wielki przywódca Francji i pogromca Niemiec Jerzy Clemenceau w okresie konferencji wersalskiej spowiadał się ze swoich sympatyj dla Polski. Otóż Polska stała się dla wielkiego męża stanu czemś drogiem dlatego, że w życiu jego wplątała się, jako wspomnienie z lat dziecinnych.

Lata dziecinne sędziwego obrońcy świata przed Hunnami XX wieku przypadają na połowę ubiegłego stulecia, na ów okres „Wiosny narodów", kiedy to w pierwszych szeregach „Młodej Europy" Mazzinich, Garibaldich i Mierosławskich, stała „Młoda Polska", tem świetniejsza od innych, że ci inni zbroili się dopiero na walkę z despotyzmem, gdy ojczyzna Kościuszki od wieku już była postrachem tyranów. Były to czasy, gdy na ulicach stolic europejskich odbywały się pamiętne tłumne demonstracje na rzecz sprawy polskiej, gdy szlachetny lud francuski na ulicach Paryża, a przez swoich przedstawicieli w izbie poselskiej, domagał się od swego rządu podjęcia wojny o Polskę, upatrując w tem bardzo słusznie najlepszą rękojmie, że rząd ten i w domowych, wewnętrznych stosunkach będzie wiernym stróżem wolności.

Dzieckiem, w którego przyszłej genialnej głowie kształtowały się dopiero pierwsze myśli, w towarzystwie rodziców, przez okno ojczystego domu patrzał Clemenceau na jedną z takich demonstracyj ulicznych, widział Polaków, niesionych na rękach tłumów i słyszał, jak wiele owego dnia mówiono w domu rodzicielskim o Polsce i Polakach, jako o wielkim, bohaterskim narodzie. Jak przez sen zapamiętał to wszystko Clemenceau i jak cudowna baśń dni dziecięcych zmartwychwstało to w jego głowie i sercu po latach siedemdziesięciu. Clemenceau nie potrzebował informować się z encyklopedji i broszur, czem jest Polska, kołacząca znowu o swoje nieprzedawnione prawa — on wiedział o tem sam, on przeżył bohaterski okres sprawy polskiej w dziejach Europy.

Jakże cudownie powiązały się odległe przyczyny ze współczesnemi skutkami. Dziecko francuskie z kolan rodziców patrzało na naszych listopadowych wiarusów, wiwatowanych przez tłum i z ust rodziców uczyło się czci dla tych ofiarników wolności. Dziecko urosło w męża i szło przez życie, niosąc w duszy tamto niezatarte wrażenie. Gigantyczny starzec potężną wolą, tchniętą w bohaterską armję, wygrał wojnę, która powaliła naszych zaborców. Gdy toczyła się likwidacja politycz-

tyczna czteru lat wojennych i rozstrzygały się nasze losy, Clemenceau wystąpił, jako nasz serdeczny przyjaciel i może protektor, jako realizator okrzyku „Vive la Pologne”, tego okrzyku, co przeciągał pod oknami jego rodzicielskiego domu przez ulicę paryską przed laty siedemdziesięciu za przyczyną naszych dziadów i pradziadów, którzy przybyli na bruk paryski z pól Grochowa i Ostrołęki.

Na polach Grochowa i Ostrołęki nie zwyciężyła polska myśl restytucji. Nie zwyciężyła doraźnie. Lecz nie przeszła bezpłodnie. Na szali, na której w roku 1918 czy 1919 ważyły się pod potężną wolą zwycięzców w wojnie światowej losy Polski, drgnął po wielu latach również i ciężar polskiej szabli powstańczej.

Czwartacy z Olszynki Grochowskiej nie zginęli bezutycznie, jak wielu o tem sądziło pochopnie... „Dzień krwi i chwały” przybliżył ów „Dzień wskrzeszenia”, w którym, według słów Kazimierza Delavigny, orzeł biały wzbił się w niebo, wpatrzony, jak wtedy, „w tęczę Franków”.

Musi więc ujemny sąd dziejowy o stuletniej polskiej polityce żelaza i krwi ulec zmianie.

Historja musi ją usprawiedlić. *J. S.*

ZBIORY LUDOZNAWCZE W POZNANIU

Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu może poszczycić się wspaniałą kolekcją zabytków sztuki ludowej. Zbiory te tem większe mają znaczenie, że sięgają daleko w głąb czasu i przedstawiają stroje, ubiory i rękodzieła tego właśnie odłamu ludności polskiej, który mieszkając najbliżej zachodu najłatwiej ulega niwelacyjnemu jego prądowi.

Dział ludoznawczy Muzeum Wielkopolskiego tem jest jeszcze ciekawszy, że powstał w czasie największego ucisku polskości, kiedy pięść pruska zaciążyła na wszystkich przejawach życia wielkopolskiego i jest dziełem jednej osoby, zasłużonej obywatelki i patrjotki ś. p. Heleny z Robińskich Cichowiczowej, żony znanego i cenionego adwokata, b. wiceprezesa Komisji Kodyfikacyjnej w Poznaniu.

Jak podniósł to słusznie na pogrzebie dnia 20 września b. r. niestrudzonej działaczki ks. prałat Kłos, należała ś. p. Helena Cichowiczowa do tych, którzy wołali do narodu:

— Nie zaprzepaszczaj dawnych skarbów, strzeż ziemi, odziedziczonej po ojcach, jak oka źrenicy, nie wyrzekaj się ni języka, ni wiary, ni obyczajów, przetrzymaj najsroższe biczowanie fali germańskiej..., bo przyjdzie przecież wyzwolenie i zajaśnieją brzaski zmartwychwstania.



Ś. p. Helena z Robińskich Ciahowiczowa.

Do tego pokroju należąc obywatelek, przedwcześnie zmarła patrjotka zabrała się w pierwszych latach bieżącego stulecia do ratowania pieśni polskiej, zbierając w tow. Lutnia miłośniczki i miłośników śpiewu i muzyki rodzimej. Jako długoletnia prezeska tej organizacji podtrzymywała tę „arkę przymierza między dawnemi i nowemi laty”, a do kulturalnej tej pracy przyciągała wszystkie stany, aby przez pieśń polską stworzyć tak potrzebną nam łączność narodową.

Na zebraniach towarzyskich, z których znany był gościnny dom mecenasostwa Cichowiczów, w r. 1909 ś. p. ks. Arcybiskup Likowski wyraził w czasie rozmowy ubolewanie, że stroje ludowe Wielkopolski giną w szarzyźnie kultury europejskiej. Na to oświadczyła gospodyni domu, że gotowa podjąć się ratowania tych zabytków, o ile zbiory znajdą odpowiednie pomieszczenie, dostępne dla publiczności. Otrzymawszy pożądane przyrzeczenie od ks. Arcybiskupa, wówczas prezesa T-wa Przyjaciół Nauk i połączonego z niem Muzeum im. Mielżyńskich, że postara się o miejsce w tym gmachu, ś. p. Helena Ciechowiczowa zabrała się z właściwą jej energją do pracy.

Nabywszy doświadczenia w muzeach zagranicznych Francji Danji, Czech, Niemiec i Norwegji wraz z córką Wiesławą przebiegała miasteczka i wsie Wielkopolski, Pomorza i Sląska, pouczała, wypraszała i wykupywała, przeszukiwała piwnice i strychy i zbierała bez wytchnienia wszystko, co posiadało swoiste cechy sztuki ludowej. Według wzorów czeskich sporządzone w kraju szafy, gablotki i manekiny były koniecznem dopełnieniem w ciągu dwu lat zebranych oryginałów.

Niestety nie zabrakło ludzi niechętnych, którzy obniżali i lekceważyli wartość zbiorów. Trzeba wyło zwalczyć niejedne przeszkody i uzyskać opinję rzeczoznawcy zagranicznego, zanim zdołano uzyskać szczupłe pomieszczenia dla zebranych zabytków w Muzeum im. Mielżyńskich. Tutaj po dwu latach, dnia 8 grudnia 1911 r. ś. p. Arcybiskup Likowski w czasie obchodu swego 50-lecia kapłaństwa dokonał poświęcenia zbiorów.

Matka z córką z wznowioną gorliwością zabrały się do rozszerzenia i uzupełnienia swego dzieła, podróżując już teraz po całej Polsce i powołując do współpracy



Muzeum Wielkopolskie. — Pająk łowicki.

liczniejsze grono osób przez utworzenie w marcu 1910 r. T-wa Ludoznawczego. Kres tej pracy, coraz obfitsze wydającej plony, położyła wojna. Trzeba było poświęcić się zabiegom samarytańskim, goić rany i koić nędzę ludzką. A potem najazd bolszewicki i inflacja wstrzymywały podjęcie na nowo pracy.

Dopiero z chwilą przeniesienia zbiorów dnia 22 maja 1921 r. z Muzeum im. Milżyńskich do godnego im pomieszczenia w Muzeum Wielkopolskiem w wolnym już Poznaniu rozpoczęła się druga era poświęcenia i trudów. Z prawdziwą znajomością rzeczy, z niezwyciężoną wytrwałością, z znacznemi ofiarami mienia i zdrowia matka z córką powiększały i kompletowały swe zbiory, tworzące obecnie osobny dział muzealny ich imienia. Nazwano go słusznie w wspomnieniu pośmiertnem pomnikiem „gorliwości obywatelskiej i miłości dla ludu". Przy tej pracy, niepozbawionej kolców, ale obfitej w plon żniwny, zastała ś. p. Helenę Cichowiczową śmierć. Wielkie jej dzieło, wieczysta pamiątka obywatelki i patrjotki, w całej pełni uwydatniła dopiero Powszechna Wystawa Krajowa.

W dwu salach zebrane zbiory ludoznawcze zawierają przedewszystkiem stroje i ubiory ludu wiejskiego, przeważnie zachodnich dzielnic Polski, chociaż nie brak ich i z innych stron kraju, z Łowickiego, Mazowsza, Podhala, z okolic Kurpiów i Huculów. Obok nich zgrupowane są przedmioty codziennego użytku, sprzęty domowe, naczynia, narzędzia rolnicze, wieńce i grabie dożynkowe, wycinanki, pisanki, obrazy malowane na szkle i samodziały rozmaitego typu. Ciekawy jest dział t. z. Bambrów, osiadłych pod Poznaniem w wieku XVIII wychodźców z Bawarji (Bamberg), dziś zupełnie spolaczonych, których oryginalne stroje widzieć można w okolicy Wielkopolski, zwłaszcza podczas procesyj Bożego Ciała. Na szczególną uwagę zasługuje dział czepców oczepinowych, jedyny tak piękny w Polsce, wykonanych z pasm i nici ze złota dukatowego lub starych brokatów, z koronek i haftów. Wreszcie przykuwają oko t. z. dymki, tłocznie farbierskie, służące do drukowania deseni na perkalach lub gładkich samodziałach.

Staje nam przed oczyma życie codzienne i odświętne, wesela i obyczaje, barwna krasa i umiłowanie piękna, oryginalność i pomysłowość ludu polskiego, nad podziw wielkie i niezwykłe zalety zapadłej wsi i cichego miasteczka. Wszystkie okazy rozmieszczone umiejętnie i starannie, czystość i porządek wzorowy. I mimowoli przed tem dziełem jednej kobiety, dzielnej i wytrwałej Polki, chyli się czoło!

Tadeusz Sas-Jaworski.



Muzeum Wielkopolskie.
Palmy wileńskie i wycinanki kurpiowskie

SZTUKA WIDZENIA

Utrzymuje się powszechnie pogląd, że zmysły człowieka, o ile mają swe organa normalnie zbudowane, działają stale jednakowo i w całej pełni. To też określenia, że ucho, oko, smak i t. p. można kształcić i wykształcić budzi często u ludzi zdziwienie.

A jednak tak jest istotnie. Zajmijmy się na tem miejscu kształceniem oka, czyli sztuką widzenia.

Mijając kogoś na ulicy, jeden z nas zauważy tylko ogólny, nieokreślony dokładnie wyraz przechodnia. Inna osoba dojrzy charakterystyczne rysy twarzy jeszcze inna zanotuje w pamięci nietylko wyraz twarzy obcego, lecz całe jego ubranie ze wszystkiemi szczegółami i t. p.

Przykład ten dowodzi, że każda z tych trzech osób inaczej patrzyła i co innego widziała. Innemi słowy spostrzegawczość oka u tych trzech osób rozwinięta jest w różnym stopniu. Drogą odpowiednich ćwiczeń można spostrzegawczość rozwinąć i udoskonalić.

Kipling w swej powieści p. t. „Kim" opisuje taką lekcję spostrzegawczości, przeznaczoną dla kandydatów na wywiadowców angielskich w Indjach. Nauczyciel układa około 40 rozmaitych kamieni na stole, poczem przykrywa je suknem. Przywoławszy uczniów, podnosi sukno na chwilę, ukazując kamienie, poczem zakrywa je z powrotem. Uczeń początkujący, zapytany co widział odpowie, że masę różnokolorowych kamieni. Uczeń



Muz. Wielkop. — *Czepce biskupianek z Krobi.*



Muz. Wielkp. — Kornet bamberski.

wykształcony zdołał w ciągu tych kilkunastu sekundach nietylko zliczyć jednym rzutem oka wszystkie kamienie, lecz zauważyć, ile ich było w jakim kolorze, kształcie i t. p. aż do najdrobniejszych szczegółów. Ćwicząc się dalej w ten sposób, uczniowie zdobywali niebywałą doskonałość w swej sztuce widzenia dla celów spostrzegawczości.

Naśladują ich nasi harcerze, którzy również dążą do wykształcenia oka w tej dziedzinie przy pomocy metody wyżej podanej, oraz szeregu innych.

Doskonała spostrzegawczość jest jednak tylko pierwszym niejako wstępnym stopniem sztuki widzenia. Oko, nawet najlepiej pod tym względem wykształcone, spostrzega tylko możliwie najdokładniej istniejące rzeczy i przesyła te wrażenia do mózgu, które je rejestruje.

Drugi, wyższy stopień sztuki widzenia, to *ocena* spostrzeżonych rzeczy. W działaniu tem współpracuje już oko z intelektem człowieka. Zdobycie doskonałości pod tym względem wymaga już trudniejszych i dłuższych studjów. Oko np. spostrzega pewien układ przedmiotów. Intelekt skierowuje oko na stosunek tych przedmiotów względem siebie, na układ ich linji, barw i ocenia, czy w tym układzie zachodzi harmonja większa lub mniejsza, czy też wogóle chaos i bezład. W dziedzinie sztuk plastycznych ma to dwa znaczenie.

Nie koniec na tem. Oko musi nauczyć się patrzeć

na światło i jego efekty. Popatrzmy na naszą rękę. O kształcie jej mamy mniej lub więcej dokładne pojęcie. Jednakże wszystkie jej światła i cienie, zwłaszcza cała gradacja cienia w przejściach, są dla nas przeważnie zupełnie nieznane. A przecież właśnie te szczegóły dają nam trzywymiarową plastykę wszelkich brył. Pilna obserwacja rzeźb odkryje nam pod tym względem całą gamę wrażeń estetycznych.

Przypatrzmy się np. kolorowi śniegu, podczas czystego zachodu słońca w zimie. Spostrzeżemy ze zdumieniem, że śnieg ten ma barwę wyraźnie niebieską w cieniach, na przejściach zaś do świateł przechodzi całą gamę barw aż do koloru jasno-złoto-różowego.

Analogiczne obserwacje można robić na każdym kroku. Kształcą one w wysokim stopniu naszą sztukę widzenia i dostarczają wielu wrażeń estetycznych. Specjalne kształcenie oka pod tym względem, jak i następnym odbywa się w naszych szkołach sztuk pięknych.

Ostatni stopień kształcenia oka odnosi się już do dziedziny twórczej. Oko, spotrzegłszy i oceniwszy pewne dane, rozpoczyna pracę z intelektem, mającą na celu rozdział tych szczegółów, usunięcie zbytecznych, a podkreślenie ważniejszych, w celu utworzenia estetycznej całości.

Iluż naszych fotografów amatorów, zobaczywszy piękny krajobraz, stwierdziło ze zdziwieniem, że na zdjęciu fotograficznem przedstawia się on zupełnie bez efektu. Usunięcie lub pozostawienie jakiegoś drzewa, czy krzewu na pierwszym planie, lub przy brzegu fotografji, zdecydowało o pięknie estetycznej całości. Znana zasada amatorów fotografów głosi, że najlepszym aparatem fotograficznym jest dobre oko, umiejące widzieć.

Wiadomości te pożyteczne są nietylko fotografom, lecz każdemu, kto chce rozkoszować się pięknem przyrody. Umiejętność wydzielenia pewnego wycinka z całości krajobrazu, który mamy przed sobą, odróżnienia w nim pierwszego i dalszych planów, ustalenia perspektywy i ugrupowania szczegółów, barw i świateł, da obserwatorowi niewyczerpane źródło zadowolenia estetycznego.

Niekonieczne są dla zdobycia tego jakieś specjalne studja. Wystarczy tylko pilna obserwacja, która wyćwiczy nasze oko pod tym względem.

Oczywiście w tej dziedzinie, jak wogóle we wszystkich innych, dużą rolę grają wrodzone zdolności każdego z nas. Jednakże ćwiczenie oka ma równie doniosłą rolę. Odsunie ono od ludzi biblijny zarzut: „Patrzą a niewidzą”.

Ko.

Wiersz ten, pióra ś. p. Czesława Jankowskiego, pochodzi ze zbiorów p. Lucyny Józefowej Kotarbińskiej.

Z ARABESEK

Kawaler rzecze młody:
— To modne, co — do twarzy.
Grunt: czar i blask urody,
A reszta — jak się zdarzy.
Kobieta cud przyrody!
Mód tyle już w łeb wzięło.
Nie wyjdzie nigdy z mody —
Przyrody arcydzieło!

Mąż w średnim wieku rzecze:
— Co spytam której damy,
Dlaczego tak się stroi?
Mówi: — Dla siebie samej!
Bardzom ograniczony,
Że tego nie odgadłem:
Wszakże kobieta spędza
Pół życia — przed zwierciadłem.

Staruszek dobrotliwy
Wyraża się łagodnie:
— Moda wyprawia — dziwy!
I wnet to udowodnię.
Kobietę wciąż odmienia!
Wynika stąd najprościej,
Że czyni nas stałymi
Wbrew naszej nieścisłości

Ten zaś, co wiersz ten kleci,
Tak wzdychać jął in petto:
— W powabów twoich sieci
Niech wiecznie trwam, kobieto,
Albowiem żyć — to kochać...
Daj-że mi żyć najdłużej.
I niech dla takiej sprawy
Wszelki ci sposób służy!

CZ. JANKOWSKI (CZESŁAW).

JOACHIM LELEWEL

(1786—1861).

Joachim Lelewel, to jedna z tych wielkich postaci polskich XIX w., których myśli i czyny legły kamieniem węgielnym pod fundamenty Polski odrodzonej duchowo i politycznie. Nie porywa nas duch jego na skrzydłach poezji w konradowe czy anhelliczne loty, nie wiódł nas Lelewel pod wojennemi znakami na pola orężnych zwycięstw, nie był też mężem stanu. Wielkość roli Lelewela w dziejach narodu naszego jest wynikiem niezłomności i czystości wprost kryształowej jego charakteru.

Przedziwny w naszej Polsce jest klimat duchowy, który tak do cna umie przetwarzać obcą krew na najgłębszą polską jaźń. Lelewel, ledwie w drugiem pokoleniu spolszczony, wyrósł w niem na największego dziejopisarza przybranej ojczyzny. Pod tchnieniem tego polskiego ciepła wykwitły nam jedne z najtęższych duchów: Mickiewicza, Lelewela, Kościuszki, Traugutta, Rejtana, i tylu innych o obco brzmiących nieraz imionach, lecz o duszach nawskroś polskich.

Życie Lelewela dalekie było od rozgłosu, choć w czasie krótkiego okresu profesury we Wilnie skupiał wokół siebie młodzież, zapalał jej serca, aż jedno z nich serce Mickiewicza wytrysło przepiękną na jego cześć glossą.

Jako historyk dzieła swe pisał Lelewel — mówi Mickiewicz — w promieniach „słońca prawdy, co wschodu nie zna i zachodu" i w blaskach tego słońca kształtował dusze polskie, uczłowieczał, ulepszał je, pracując przez to najskuteczniej nad przywróceniem i powiększeniem granic Rzeczypospolitej.

Albowiem kto w prawdy „przenajświętsze lica swe zacieka, musi sobie zostawić czystą treść człowieka".

Podołać zadaniom historyka może

„Tylko ten, komu rzadkim nadało się cudem
Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem,
Nad burze namiętności, interesu sieci
Z pomników ducha czasu nad gwiazdy wyleci,
Uważa skąd dla ludów przyszła ryknie burza,
Albo się pod otchłanie przeszłości zanurza,
Grzebiąc zapadłe wieków odległe ciemnoty,
Wykopuje z nich prawdy kruszec szczerozłoty,
Lelewelu! z rzetelną każdy chlubą wyzna,
Że ciebie takim polska wydała ojczyzna" [1]).

Podziwiamy niezwykłą pracowitość tego niestrudzonego, sumiennego badacza, który zostawił po sobie przeszło 100 dzieł, nie licząc pomniejszych przyczynków. I to dzieł nie bylejakich, lecz opartych o gruntowną znajomość przedmiotu, o sumienne badanie źródeł, przeniknietych ideologją prawdziwego humanisty, o umiejącego sine ira et studio spojrzeć na sprawy ludzkie, i ująć je w piękny styl poety.

Do chwały imienia Lelewela niewiele już przydaje blasku okres jego działalności politycznej, tak niesprawiedliwie ocenionej przez Mochnackiego. Jako poseł sejmowy z r. 1829 i minister oświecenia w Rządzie Narodowym r. 1830, Lelewel spełnił swój obowiązek może nie z takim polotem i genialną intuicją — nie był przecież politykiem — jak tworzył swe dzieła, ale niemniej sumiennie i z niemniejszem poświęceniem.

Ktokolwiek się z nim nie zetknął: Czacki, czy Czartoryski, Mickiewicz czy Śniadecki lub Gołuchowski, swoi i obcy jak król belgijski Leopold I — wszyscy schylali głowę nietyle przed uczonym, ile przed człowiekiem niezwykle szlachetnego charakteru. Lecz sława jego jako uczonego była ogromna. Pewne towarzystwo naukowe w Ameryce napisało do niego list zaadresowany: „Lelewel w Europie" i list doszedł. Jaką powagą moralną był Lelewel, świadczy najlepiej fakt zamknięcia petersburskiego dziennika „Słowo" w roku 1859 za umieszczenie listu Lelewela, tego największego wroga Rosji.

Po rzeczach warszawskich w r. 1861 obywatele Brukseli, w której mieszkał od 20 lat przeszło urządzili uroczysty obchód na jego cześć, widząc w nim żywy symbol Polski.

Wilno, Krzemieniec, Warszawa, Bruksela, Paryż, wszędzie, gdzie stopa jego postała, zdobywał sobie serca ludzkie i jednał głęboki szacunek.

Prace jego historyczne, które w miarę postępu czasu wciąż ulepszał, chętnie przyznając się do błędów ze skromnością prawdziwego uczonego, obejmują całokształt dziejów naszych (Polska, dzieje i rzeczy jej rozpatrywane tomów VII, 1853), szczegółowe badania poświęcił epoce stanisławowskiej, dziejom Litwy, zagadnieniom heraldycznym, geograficznym, numizmatycznym, dzieła swe zdobił własnemi rysunkami, gdyż był doskonałym rytownikiem. Ogłosił ciekawe dzieło Paralellę Hiszpanji z Polską.

Od najwcześniejszej młodości przejawiał pociąg do ksiąg. Już jako 10-letni chłopiec zabrał się do pisania encyklopedji.

W dziełach swych hołdował ideom republikańskim, stale powracał do kwestji włościańskiej i żydowskiej, występował w obronie wolności wyznaniowej i, jakkolwiek w tej dziedzinie wypowiadał poglądy śmiałe, jednak nie popadał w wyraźny zatarg z Kościołem.

Wypowiadał swe poglądy pod nakazem sumienia, a nie konjunktury i dlatego można mu je wyrozumieć.

Sprowadzenie zwłok Lelewela do kraju było spłaceniem długu wdzięczności, jaki zaciągnął cały naród, czerpiąc ze zdroju wiedzy i skarbnicy jego serca.

Godzi się powtórzyć za Mickiewiczem:

O długo modłom naszym będący na celu,
Znowu do nas koronny znijdziesz Lelewelu!
I znowu cię obstąpią pobratymcze tłumy,
Abyś naprawiał serca, objaśniał rozumy.

J. Czarnecki.

[1]) A. Mickiewicz. Do Joachima Lelewela.



JAN HENRYK ROSEN *Zwiastowanie.*

JAN HENRYK ROSEN

W starej dzielnicy Lwowa, na małym placyku przy ul. Ormiańskiej, wznosi się jeden z najcenniejszych zabytków miasta, katedra obrządku ormiańskiego.

Jak większość dawnych pomników architektury, nie jest to budowla jednolita. Część najstarszą wzniesiono około 1370 roku. W wieku XVII katedrę rozszerzono znacznie. Najnowsza jej część, stanowiąca przedłużenie do ul. Krakowskiej pochodzi z r. 1908.

Gruntowna, z całym pietyzmem i z znacznym wysiłkiem finansowym przeprowadzona restauracja katedry ormiańskiej jest dziełem i zasługą ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Z jego również inicjatywy powierzono polichromję katedry młodemu artyście Janowi Henrykowi Rosenowi, synowi głośnego batalisty, twórcy słynnej rewji białych ułanów na placu Saskim.

Wystawa prac młodego Rosena, urządzona w warszawskiej „Zachęcie" w r. 1925, zwróciła powszechną uwagę odrębnością zainteresowań artysty. Jan Henryk Rosen prowadzi widza w czarowny świat świętych legend. Ale nietylko treść przykuwa uwagę widza, w obrazach Rosena, pociąga go również i buduje suma pracy włożona w te kompozycje.

Na tle powszechnej w malarstwie dzisiejszem szkicowości, pobieżności technicznej, faktura Rosena jest czemś wyjątkowem.

Sumienność, miniaturowa drobiazgowość artysty stanowi konieczne dopełnienie treści kompozycji, ich wyrazu.

Pracowitość faktury Rosena działa jak modlitwa, ma jej podniosłość i powagę.

Przed jego obrazami przychodzą na pamięć owe rzeźby ze szczytów katedr gotyckich, wykonane precyzyjnie, drobiazgowo, jedynie dlatego, że były ofiarowane Bogu, dla widza bowiem, patrzącego z dołu — były niemal niedostrzegalne.

Siłą drugą w obrazach Rosena, za której pośrednictwem trafia on łatwo do duszy widza, jest legendarny urok, promieniejący z jego kompozycyj. Ta właśnie przewaga pierwiastku legendarnego w obrazach Rosena wyznacza artyście całkiem określone miejsce w malarstwie religijnem.

Tradycjonalizm Rosena, szukanie kontaktu z przeszłością sztuki kościelnej, z malarstwem średniowiecznem, jest jednym z fragmentów wewnętrznej pracy malarza, zmierzającego do podniesienia wyrazu i powagi kompozycji przez wprowadzanie form odwiecznych, uświęconych tradycją.



JAN HENRYK ROSEN *Święty Odylon.*

Wystawa z r. 1925 nie ujawniła wszystkich właściwości talentu Rosena, nie odzwierciadliła tych jego walorów, które w pełni wystąpiły dopiero w polichromji katedry ormiańskiej

Jakkolwiek bowiem dawniejsze studja tego malarza cechuje wybitny zmysł dekoracyjny, to jednak odnosiło się wrażenie, że jest to dekoracyjność o charakterze iluminacyjnym, ilustracyjnym, niezdolna do owładnięcia wielką przestrzenią, bezsilna wobec zadań malarstwa ściennego, monumentalnego. Wobec wyników, które J. H. Rosen osiągnął w polichromji katedry ormiańskiej, wszystkie te zastrzeżenia okazały się nierealne.

Wnętrze starej katedry, otoczonej zewsząd wysokiemi domami, jest ciemne, a ogólny mrok wnętrza potęgują jeszcze witraże. Częścią najjaśniejszą jest absyda, gdzie wznosi się wielki ołtarz. Okna, pomieszczone w bębnie kopuły — dostarczają światła w dostatecznej ilości. W ten sposób światło stało się czynnikiem arcentującym główną część świątyni.

Uwzględniając wymagania kultu, warunki architektoniczne i oświetlenia, obrał Rosen absydę za punkt wyjścia dla swej dekoracji. „Ostatnia Wieczerza” stanowi tło dla wielkiego ołtarza, a zarazem jest kompozycją centralną całej dekoracji. W nawie poprzecznej pomieścił malarz „Boże Narodzenie” i znacznych rozmiarów „Ukrzyżowanie”.

Na ścianie nawy, naprzeciw kaplicy N. Sakramentu, znajdują się malowidła, poświęcone św. Janowi Chrzcicielowi, ściętemu na rozkaz Heroda Antypy w r. 31.

Pod oknem: Ciało św. Jana podtrzymują aniołowie. Jeden z aniołów trzyma ściętą głowę świętego, drugi — topór skrwawiony, inny lampę, będącą symbolem św. Jana. Po lewej ręce — Herod, po prawej św. Elżbieta, matka św. Jana, w otoczeniu uczniów. Z lewej strony okna: aniołowie oddzielają ziarno od plew, z prawej — walczą z rasą padalców.

Część dalsza tej ściany poświęcona jest Matce Boskiej. U dołu: Zwiastowanie, obok okna z lewej strony: prorocy Ezechjel i Jeremiasz, z prawej — Sybilla, u góry: wizja Eljasza — N. M. Panna na obłoku.

Dalej widzimy: Ofiarę Abrahama i aniołów, niosących symbole siedmiu darów Ducha św. i siedmiu grzechów głównych.

Ściana przeciwległa poświęcona jest św. Katarzynie Aleksandryjskiej, św. Jerzemu, św. Krzysztofowi, św. Odylonowi, oraz świętym Błażejowi, Djonizemu, Pantaleonowi, Achacemu, Cyrjakowi, św. Małgorzacie i św. Barbarze.

Siła wyrazu, podniosłość nastroju, cechuje zwłaszcza „Pogrzeb św. Odylona”, wielkiego opiekuna i orędownika dusz cierpiących w czyśću.

Legendarny czar stanowi zasadniczą cechę i najistotniejszą treść kompozycyj Rosena.

Rosen, jako ilustrator scen z Ewangelji i żywotów świętych, nie jest malarzem historycznym, t. j. nie od-

twarza scen w ich historycznym przebiegu. Sceny te ujmuje przez pryzmat liturgji i kultu, na sposób, jak to często czynili malarze średniowieczni.

Dla świata katolickiego w dziedzinie sztuki kościelnej po dzień dzisiejszy obowiązujące są uchwały i wskazania Soboru Trydenckiego: Sobór odrzucił wszelką przypadkowość, wszelki realizm, wszelką „rodzajowość" formy.

Rosen w polichromji katedry ormiańskiej przestrzegał ściśle tych wskazań. Odchylenie rażące stanowi jedynie Matka Boża w „Ukrzyżowaniu", ujęta realistycznie, jako stara kobieta.

Pisarze kościelni niejednokrotnie zabierali głos w sprawie tego rodzaju przedstawień Madonny w sztuce i stanowczo je odrzucili jako niezgodne ze wskazaniami marjologji.

Jest to zresztą jedyna uwaga o charakterze ujemnym, nasuwająca się przy oglądaniu polichromji katedry.

Pod względem kolorystycznym, malowane temperą kompozycje Rosena posiadają siłę, barwistość i wyrazistość witraży. Zwłaszcza kompozycje zajmujące ściany nawy, jak „Ścięcie św. Jana", „Pogrzeb św. Odylona", „Zwiastowanie" odznaczają się wręcz niezwykłą siłą i wyrazistością kolorystyczną.

Polichromja katedry ormiańskiej we Lwowie jest dziełem o wyjątkowem znaczeniu i to nietylko wskutek jej walorów malarskich. Momentem decydującym w jej ocenie jest jej głęboki nastrój religijny.

Na tle ogólnego indyferentyzmu religijnego w sztuce polskiej kompozycje Rosena — są wyjątkiem tem cenniejszym, że niespodziewanym i świetnym.

M. Skr.

GWIAZDOR

(NOWELA).

— Wis, Franuś, musimy się z sobą rozejść.

— A bez cós tak?

— Ano, widzis sam, żeś jus, na to mówięcy, stary i do nijakiej ta roboty nieudolny.

— Tak gadacie?

— Ano, tak! Prawdę rzekę! Tobie ino siąść ka pod figurą, abo na schodkach pod kościołem... Toby ta jesce...

— Gospodazycku, co wy tys wydziwiacie?

— Nie wydziwiam, Franusiu, nie wydziwiam, jeno mówię tak, jak jest. Jus ci się hnetki ponoś siódmy ksizyk zacnie... Cas ci spocąć, oj cas!

— O słodki Jezusińku, to cós jo tera z sobą pocnę? Kajze się podzieję?

— A cósby? Pod kościół, pod figurę, jakom ci rzeknął...

— Gospodazycku, cemus mnie tak bez hapelacyji pędzicie? To ci ja psecie po próznicy chleba wasego nie jadał... Robiłem i w groncie i kole bydła i w lesie i kanyście jeno kcieli i kazali. Anim ździebło nie spocnął. Od świtku do późnej nocki haru i haru. Słowem nie zeknął, ani się nie sprociwił. Służba nie drużba — wim pracować tsa i tylo. Tak se mówiłem zawdy. Sprawiedliwiem robił, nie ocyganiłek was bez te dziesięć roków ani na okrusynę; pilnowałek wasego, jak swego. A choć mi ta roki psybywają, to psecie, mościewy, mniej nie robię, ino tyle, co zawdy. I cuję, co jesce robić podolem, jak do siela!

— Brechnie gadas, Franuś! Ani bez pół jus ni ma tej roboty, co wprzódzi... ino tak przez palice patsę na wszyćko... No, ale skoda gadania! Ozejdziemy się, Franuś, bo cas! Moze cie ta wezmą ka, bodaj siedzieć u chałupy i pilnować kur, abo dziecka kołysać. Do inksej roboty juześ nie sposobny.

— O, gospodazyku!

— Cichoj, cichoj! Dam ci piątkę, a niekta i dwie na odchodne, żeś ta wierny był... Wiency ci się nie patsy... A i to z dobrej ino woli daję!

— A mnie sie widziało...

— Cós ci sie widziało? Moze jesce mało tego, co daję — hę?

— E, nic jus, nic...

— Ho, ho! widzę, ze z ciebie jakisik mądrala... Patrzcie, patrzcie! Jak ci mało, to i tyla nie dam, com pedział... Wszystkoś dostał sprawiedliwie, jak nie w pieniądzach, to przyodziewkiem... Sprawiedliwie!

— Sprawiedliwie, sprawiedliwie...

— No, widzisz! Zawse miałem serce dla ciebie.

— Mieliście, mieli...

— Teraześ wolny. Mozes se iść choćby i zaraz; nie psetsymuję cię. Juz nagodziłem innego. Nie kuternoga, jak ty, ale chłop młody, śmigły, robotny ze ha! Za pół tego będzie służył, co ty...

— Ale!

— Ale, hale! Skądeś się wzion naraz taki przedrzeźnicki? Do sielaś gęby nie mioł, mruk i byłeś,



JAN HENRYK ROSEN *Św. Jan Chrzciciel*



JAN HENRYK ROSEN *Święty Idzi.*

nie wyciągnął, a teraz gębę ozdziawias... Widzicie go! Cy to ludzi, myślis, brak na świecie? Tyś tylko jeden nalepszy? Oj, Franuś, Franuś! Coś ci się jus na stare lata rozum pobałamącił! Ale ja ci to nie przyganiam i odpuscam wszyćko. Niekze bedzie! Idźże se z Panem Bogiem, ka ino kces i niech ci lepiej będzie, jak u mnie... Nie pozazdroszczę... Bóg z tobą, Franuś!

— Bóg wam zapłać za dobre słowo! Kiedy jus tak, to — juści — iść tsa. Po krześcijańsku mnie odprawujecie, po krześcijańsku i po sprawiedliwości... Niechże będzie! Idem jus, idem...

— No, jesce te nockę, a choćby i drugą mozes se u mnie nocować, bo kas sie bedzies tłuc po mroku. Tego ci nie wymawiam.

— Nie! pójdę jus, pójdę!

— A kasby? Do Panjezusa! Panjezus me psyjmie! On dobry i litościwy! Ostańcie z Bogiem!

Po tej rozmowie Franek, stary sługa, powstał, westchnął ciężko, w rękę gospodarza pocałował, pokłonił się w pas i do wyjścia skierował.

— Zackaj końdek! — wstrzymał go gazda. — Jescem ci nie dał psecie pieniądzów. Dwie piątki twoje! Masz!

— Nie tsa, gospodazycku, nie tsa... Nic mi się jus nie patsy... Wszyćkom dostał sprawiedliwie, com se wysłużył — syćko!

— Głupiś! Bier, kiej ci daję! — i wetknął mu dwie piątki do kieszeni. — Co za honory! Patrzcie! — Głupi! — dodał z politowaniem.

— Franek wyszedł. Stanął jeszcze na obejściu, obejrzał się poraz ostatni na chatę, w której dziesięć lat z okładem przepracował za pół darmo,za łyżkę strawy, trochę starych szmat i jak z łaski od czasu do czasu rzuconych paru papierków, bo nigdy się o nic nie upomniał i upomnieć nie umiał. Nie znał wartości pieniądza i nie przykładał doń wielkiej wagi; nie znał również wartości swej pracy. „Głupim" był dla gazdy swojego i dla innych „głupim" pozostał. Inaczej go we wsi nie nazywano, tylko „głupim Frankiem", kpili z niego i szydzili. Wyzyskiwał go kto chciał i nie chciał; wykorzystywano jego dziecięcą prawdziwie dobroduszność i dziecięcą naiwność. Podnajmowano go do najcięższych robót, a płacono wprost... jałmużną. Franek brał, ile mu dano, bez słowa sprzeciwu i za wszystko dziękował, jakby za darowiznę. Taki już był zawsze, odkąd go tylko we wsi zapamiętano.

Ale znano go jeszcze i z innej strony: z wielkiej miłości do dzieci i wielkiego ukochania przyrody.

Wobec starszych zawsze nieśmiały, jakby zahukany, niemowny, stąd mrukiem też zwany — wobec dzieci zdobywał się na wymowność, przepełnioną jakiemś uczuciem gorącem, rzadko u ludu spotykanem. Sam z duszą dziecka — rozumiał świat dziecięcy i umiał się do niego dostroić. Gdy znalazł się między dziećmi, język mu się nagle rozwiązywał jakby cudem, i płynęły z ust jego dziwnie pieszczotliwe i przymilne słowa. Umiał opowiadać bajki przeróżne, Bóg jeden wie, skąd zaczerpnięte, a przeważnie przez niego samego wymyślone, któremi dzieci czarował. To też dzieciarnia wioski znała go dobrze i garnęła się doń, dopraszając się wciąż nowych bajek i opowieści. A nie były to baśni o śpiących królewnach, o błędnych rycerzach i zaklętych skarbach, ale o tem, jak to gwiazdy chodzą za Panem Jezusem po niebie, niosąc przed nim, niby gwiazdory, wielkie, złote światła, któremi oświetlają Mu drogę niebieską, o tem, jak to księżyc, nocny stróż nieba, pasie białe baranki chmurek na niebieskiej łące; jak ptaszki codzień rozmawiają z Jezuskiem; jak Mu do snu szumią i szemrzą strumyki lub jak wichry-puzony grają mu rozgłośne marsze; o tem, jak kwiatki śmieją się do nieba, gdzie widzą codzień żywego Boga, czego ludzie nie widzą; jak wiewiórki bawią Pana Boga swemi figlami, że się Pan Bóg aż zaśmiewa serdecznie; jak motyle... A któżby tam wydołał powtórzyć to wszystko, co się dziwnie a bujnie lęgło w głowie „głupiego Franka".

— Ot — mówili starzy — co się to takiemu „głupiemu" troi w głowie, mój mocny Boże!

— Ano — odpowiadali na to inni — na nic lepszego go nie stać! Głupi — to i gadanie ma głupie.

Ale, że dzieci bawił tą „głupotą", przymykali na to oczy i pozwalali mu „głupkować" dalej.

A wreszcie miał Franek jeszcze jeden dar nie bylejaki, „przywilej" jak to nazwali ludzie wioskowi. Umiał — Bóg ta wie, gdzie się tego nauczył — kleić i zlepiać z wystruganek, z gałązki, z deszczułek, z kolorowych papierków różne figlasy, pajace, ptaszki i zwierzątka, wiatraszki, latareczki, koszyczki, pudełka, a przedewszystkiem wielkie gwiazdy kręcące się i świecące„ z jakiemi kolędnicy-gwiazdory chodzą po wsi w Trzech Króli. Nikt nad niego nie umiał piękniejszych wymyślić i zmajstrować. To też gwiazdory chodzili do niego całemi tłumami.

Ale to było dawniej, gdy był młodszy cośkolwiek i nie służył jeszcze na stałe u nikogo, lecz chodził tylko na zarobki dorywczo. Odkąd najął się do służby do onego gazdy, od którego teraz właśnie odchodził na zawsze — odtąd dla braku jakichkolwiek wolnych chwil zaniechał wszystkiego — i wkrótce też o jego zdolnościach we wsi zapomniano. Przyszli inni gwiazdory i majstry — a Franek odszedł w cień.

A właśnie teraz nadszedł czas „gwiazdorów"... Gody się zbliżały, a po Godach — Trzech Króli! Cóż, kiedy Franek



JAN HENRYK ROSEN *Ukrzyżowanie*

nie mógłby już teraz chodzić z gwiazdą, bo mocno utykał na nogę, którą mu złamała padająca jodła, gdy ją ścinał bez niczyjej pomocy na rozkaz swego gospodarza. Ledwie żyw wtedy wyszedł, bo mu też i piersi potłukło, kilka żeber zgniotło. Jakoś się jednak wylizał przy Boskiej pomocy, nie ludzkiej, bo tej nie miał żadnej. To kalectwo, w służbie nabyte, było też główną przyczyną wydalenia Franka; było jego jedyną nagrodą za trud pracy i spełnienie swego obowiązku.

Pożegnawszy żałosnem spojrzeniem chałupę gazdowską, Franek ruszył dalej, nie wiedząc dobrze, dokąd skierować swe kroki

Noc już była — noc mroźna i gwiaździsta. Franek, wyszedłszy na otwarte miejsce, znowu przystanął i puścił wzrok w tę otchłań gwiezdną, w tę otchłań cudu, co się niebem zowie i jakby wszedł do świątyni, zdjął z pokorą czapę baranią i stał tak długo, zapatrzony w tę lawinę świateł, modląc się w duszy cichutko.

Gwiazdy iskrzyły się złotawym blaskiem, mieniły się jak brylanty i drżały jakby pomrugiwały wielkiemi oczyma do Franka porozumiewawczo i życzliwie i jakby wołały do niego:

— Chodź tu do nas, Franuś, chodź! Bedzies se chodził po tych śrybnych i złotych i brylantowych perciach i ścieżynach... Bedzies se tutaj gazdował sam na własnem gazdowstwie — ty, coś całe życie ino drugim służył... Bedzies se patsył w górę ku Bogu i Bóg na ciebie poglądać będzie — na ciebie, na którego nikt na ziemi nie spojrzał... Bedzies sie tak śmiał promieniami śmiechu i promieniami światła, jako my sie śmiejemy... Bedzies się z życia tak radował, jako my się radujemy i śpiewał Panu, jako my śpiewamy: Glorja, glorja, glorja in excelsis Deo! Bedzies Mu tak śpiewem dziękował, jako my dziękujemy, ze nas tak pięknemi i szczęśliwemi uczynił... Tak, tak, Franku nieboże, Franku chudziaku! Pójdźże do nas, boś ty naski... Nie mas tam jus co robić na ziemi, kiej cię tam nie kcą...

Frankowi tak się zdawało, że słyszy te tajemnicze słowa, płynące doń z wyżyn niebieskich; że słyszy ten zew anielski i boski... Słuchał i słuchał i w słuchaniu się zapamiętywał. Rzewność wielka poczęła rozpierać mu duszę... Zachwyt bił z oczu jego, utkwionych w tej topieli jarzących się niebios... I naraz poczuł, jak łzy gorące, łzy czyste, dziecięce spływają mu po wychudłych i zapadłych policzkach; jak serca jego bije ze zdwojonem tętnem; jak pierś rozszerza się rozkoszą mu nieznaną...

— To Ty tam mieskas, o Panie! — szeptał rozmodlony. — Tamoj Twój boski tron i Królestwo Twoje! Jakże piękny ten Twój dom, o Jezu! Jakże straśnie piekny i boski! Gwiazdy Ci świcą, jak zaden ontaz w kościele nie świeci, jakby sie całe niebo paliło... A Ty se gazda tam największy, jakiego drugiego niema na świecie... Chodzis se po niebieskich drogach skróś tego lasu nieskończonego gwiazd złotych i oglądas se gazdowstwo Twoje... Jakże sie musis ciesyć niem, Ty wielgi, nieporównany, mocarny Gazdo niebieski — bo gazdowstwo Twoje ślicność nad ślicności i moc nad moce wszećjakie, bez początku i końca, bez granic i wymiaru... A z góry patsys i na nas ludzi chudziaków i widzis wszyćko... Kasby ta co ukryło sie przed Tobą — kasby, kiej Ty z tak wysoka spozieras i kiej Ci tak gwiazdy świcą... Tak, tak — Ty wszyćko wis i widzis, a juści! Nie widziałbyś?! Spojzyjze i na mnie, na Franka bidotę. Jezusinku kochany; spojzyj choć na ocymgnienie, jak ociec dobry i weź mnie ku Sobie, bo mi haw kucno na ziemi i luto... Na nic tum jus nie zdatny, na nic... Weź mnie! Jezusinku — weź mnie! Uładzę Ci, jak ta poredzę, wielga, śrybniasta gwiazda i bedem Ci przyświecał drogę, jako te gwiazdeczki niebieskie Ci przyświcają — ja, gwiazdor Franek... Weź me!

Ale z góry szła tylko cisza, cisza bezdenna i głucha, cisza-otchłań...

Franek jednak wsłuchiwał się w te milczące bezdenie, wsłuchiwał całem swem jestestwem, czyli nie doleci go głos Boga... I naraz zdało mu się znów, że Bóg w tej ciszy wielkiej, z głębi przepastnych nieb mówi do niego:

— Wezmę Cię, Franku bidoto! Przyjdź z gwiazdą swoją, Franku gwiazdorze!

Tak! Wyraźnie usłyszał ten głos, przenikający go na wskroś, ten głos święty Boga!

— Psyńdę, o Jezusinku, psyjdę, ino gwiazdę zługodzę...

I porwał się z miejsca, a kiedy raz jeszcze spojrzał w górę, ujrzał jak gwiazdy mrugają na niego jak rozbawione dzieciaki i cieszą się i śmieją z wielkiej radości, że Bóg jego prośby wysłuchał...

Szedł śpiesznie naprzód, nie wiedząc nawet, dokąd idzie — szedł, aby iść... Za chwilę dopiero oprzytomniał.

— No, dobrze Franuś — ale kajże ty idzies? Mas-ze to kany swój dom, abo choćby jakiego znajomka? Idzies akurat, jak „głupi Franek"... Żeby tak ludzie widzieli, jak uganias by waryjat, a niewiada za cem — śmialiby się z ciebie, oj śmiali i akurat mieliby słuśnie nazywać cię „głupim"... Przystańże końdecak i ozmyśl se, co teraz...

Pochylił głowę i stał tak długo bezradny. Co chwila to skrobał się w głowę, to tarł czoło, że to nijak nic wymyśleć nie może... Naraz przytyknął w palce...

— Mam go! Co bede daleko sukać? A dyć zyje jesce dziadyga Błazek u lasu... Samiuteńki zyje i ma swoją chałupę, maciuteńką, o jednej izbinie, ale ma... Sam se ją zbudazył... Błazek znajomek mój dobry, jako ze to dziad do dziada garnie... Choć na parę dni się wprosę do niego. Moze ta i nie odmówi. Pomogę mu coś nie coś, bo to jus cłek obstarni i bardzo; bedzie miał bez mała sto roków i do tego prawie jus głuchy i ślepy... Teraz zima, drwa mu w lesie nazbieram, kole chałupy co oporządkuję, bo się chałupisko juz na łeb wali i jesce kiedy starego na śmierzć psygniecie... Bedzie rad, bo ta choć głuchawy i ślepawy, ale cłek mowny... Nie bedzie mu sie cneno samemu... Pójdę tamok... Chyb — traf! Spróbować nie zawadzi. Nie psyjmie — pójdę dalej... Jakiś kąt kanyś psecie znajdę... Tyle jeno, abym miał cas i miejsce pikną gwiazdę Panjezusowi złagodzić...

I poszedł przed siebie... A mróz brał coraz większy, kąsał jak wściekły gad, smagał jak rozpalonym prętem, wgryzał się w twarz, w ręce i w nogi i kładł się lodowem cielskiem na pierś Franka roshełstaną, otwartą... Przyciągał ta Franek capę, jak mógł, ale to nie wele pomogło... Mróz bił się już do gardzieli, zatykał oddech, dusił... Dawno takiego mrozu Franek nie zapamiętał... Gwiazdy na niebie iskrzyły się jeszcze silniej, niż zwykle i zdawały się być dwa razy tak wielkie jak były... Jak szeroko rozwarte z przerażenia oczy, patrzały na ziemię i na Franka zdziwione, że on w taki straszny mróz ma odwagę błąkać się po świecie...

A Franek szedł naporzód i naprzód, to w górę, to znów na dół, po wykrotach leśnych, wypęczniałych korzeniach, oślizłych z mrozu głazach i piargach; potykał się, wywracał, ranił twarz i ręce — ale parł bez przerwy naprzód i naprzód, byle dotrzeć do celu...

W dwie godziny zaledwie stanął przed chałupą niską, zapadłą w pół w ziemię, maleńką i tak zbutwiałą, że cud prawdziwy, jak się te powyginane w prawo i w lewo ścianki jej trzymały! Coprawda, podpierały ją dwa potężne niegdyś koły, ale i one dziś już ujawniały oznaki przegnicia. Jedno w tej chałupie było okienko bez szyb, szmatami zatkane, bo szybki dawno już wiatry rozniosły. Cicho tu było, jakby żywa dusza nie zamieszkiwała tej ruiny, do opuszczonej szatry cygańskiej, niż do chaty podobnej.

(D. c. n.). **Aleksander Borucki.**

PODOLA PANI

POWIEŚĆ.

Był to rok 1609 post Christum Natum, a najmiłościwszego panowania Zygmunta III, króla polskiego, w. księcia litewskiego, ruskiego, pruskiego etc oraz Szwedów, Gottów i Wandalów dziedzicznego pana — dwudziesty i drugi.

Wielką była Rzeczpospolita. Granice Jej na północy sięgały jezior inflanckich i dzierżaw szwedzkich, na wschodzie do państwa carów moskiewskich przytykały, a potem gubiły się w stepach zadnieprzańskich. na południu zaś de iure opierały się o Morze Czarne, o burzliwe fale Euxinu, lecz de facto rozpływały się w Dzikich Polach, niezamieszkałych pustyniach, okrytych bujnemi trawami, pełnych w pobliżu rzek jarów i uroczysk, słynących z dziwów różnych, a jeszcze bardziej znanych z ludzi niepewnych, brodników wszelakich, żyjących procederem łupieżczym i w dokumentach starościńskich i grodzkich określanych jako notoryczni latroni.

Niżej leżały już koczowiska tatarskie, hord różnych, wyczekujących tylko chwili sposobnej, by chyłkiem, omijając polskie zameczki i straże, pomiędzy wododziałami, wzdłuż łożysk rzecznych — wedrzeć się do Lechistanu po świeży łup i umknąć z nim co rychlej w niezmierne stepy czarnomorskie.

W stronie zachodniej, ponad obszarem „pustych pól“ leżało górne Poboże, graniczące na wschód i poł. wschód z Bracławszczyzną, obficie zroszone licznemi dopływami Bohu, jak, Zhar, Wołk, Sniwoda, i Desna z lewej strony. Była to cześć wschodnia błogosławionego Podola, kraina legendarna, płynąca „mlekiem i miodem“.

Któż spamięta dzieje tej ziemi, któż zliczy mogiły-kopce rozrzucone na jej łonie, sypane przed wiekami przez ludy, których ślad już zaginął na wieki.

W pomroku dziejów siedzieli tu Scytowie rolnicy, handlujący zbożem z Grekami z nad Pontu Znikli oni bez śladu wśród burz dziejowych. Panowali tu strasznej pamięci Obrowie, spędzeni przez innego najeźdźcę. Długo potem zagospodarzyli się tu Kumanowie, cześciowo lud Berendejów, dziki i mało znany. Wereżcy kniaziowie z Kijowa ściągali stąd daninę, zapędzał się w tutejsze bory słynny Włodzimierz Monomach... Potem przyszła nawała mongolska, pozostawiająca po sobie pustkę i zgliszcza. Gospodarze tych stron poszli lasy, lub ukryli się daleko na zachodzie.

A gdy ucichło, rządzić tu jął nowy pan, Tatarzyn, w pętach swej woli dzierżący kniaziów ruskich i utrudniający powrót do spokojnego pracowitego życia.

Ale i Tatarzyn nie panował wieczne nad Bohem. Wygnali go na Dzikie Pola ludzie z północy o siwych oczach i jasnych włosach w rogatych czapicach, obuci w łapcie łykowe, zbrojni w rohatyny, łuki i maczugi potworne. Zaczęło się panowanie Litwinów, lepsze już czasy dla rolnika i łowcy w nadbożańskich puszczach.

Lepiej jeszcze działo się tu, gdy z ramienia króla polskiego rządzić zaczeli Podolem Spytko z Mieletyna i książęta Korjatowicze. Oni to zbudowali nową warownię w Winnicy i moc wielką zamków i zameczków strzegących bezpieczeństwa państwa Gedyminowiczów.

Spierała się o Podole przez długie lata Korona z Litwą aż wreszcie zwyciężył Orzeł Biały i Unja Lubelska przyniosła cały ten kraj Koronie. Odtąd szybko się zasiedlać zaczęły bezludzia. Nad Rownem, w Barze, gospodarowała Bona. Rycerze polscy, spędzający Tatarów z polskiego Niżu rozsławili się szeroko po świecie, grozą przejmowała ułusy tatarskie na sam dźwięk imienia Bernarda Przetwica, który aż ze Śląska przyszedł stanąć na straży granic podolskich.

Za czasów pana Przetwica
Spała od Tatar granica.

Głosiła pieśń ludowa, arka przymierza pomiędzy pokoleniami...

I teraz, gdyż już Sigismundus rex siedział w Warszawie — nastały tu, jak na miejscowe stosunki czasy spokojne. To znaczy, że była możność pracy pługa, ale zawsze trzeba było mieć przy sobie szablę...

Wszelako w kraju było coraz rojniej. Osady były dość już gęste, chociaż niezbyt ludne, po kilka dymów liczące.

A piękną była ta ziemia, pagórkowata, okryta gęstym lasem, lub zrzadka moczarami w pobliżu rzek, płynących bądź lasami modrą wstęgą wód przezroczystych, bądź rozlewających się szeroko w nizinach porosłych sitowiem i pachnącym tatarakiem. Tu i owdzie widniały już oprawne pola, wydarte lasom, które niszczone tylekroć przez rękę ludzką cofały się i kurczyły — by potem, gdy burza krwawa przechodziła przez tę ziemnicę, znowu rozpocząć zwycięskie natarcie na obszar przez rolników opuszczamy. Przez tysiącolecia trwało to zmaganie dwóch potęg i jak dotąd zwyciężał zawsze las, nie tylko leczący tychło rany, zadane mu przez człowieka, ale posuwający się wciąż dalej ku południowi, wypowiadający walkę stepom.

Nad tem pobojowiskiem narodów wymarłych, nad temi urwiskami, lasami, łąkami, sitowiem, wodami rzek i czarnych skał granitowych, strojnych u podnóży w krzewy róż dzikich i głogów — świeciło na pogodnem przeważnie niebie szafirowem południowe złotodajne słońce. Nie napróżno ono stało się herbem Podola.

Pod wieczór pięknego majowego dnia drogą leśną posuwało się konno trzech ludzi, zmierzając od strony winnickiego grodu ku zachodowi.

Pierwszy z jeźdźców na dorodnym gniadoszu był widocznie człowiekiem znacznym, szlachcicem. Na głowie miał kołpak rysi z orlem piórem, pierś okrywała mu lekka kolczuga stalowa, lśniąca w słońcu, skórzane rajtuzy, palone buty z ostrogami i spływająca z ramion granatowa opończa — uzupełniały resztę stroju. Przy boku zwieszała się zakrzywiona szabla w ozdobnej pochwie a przy siodle widać było lufy muszkietów.

Był to człek rosły i barczysty o twarzy młodej i jasnej, zdobnej w niewielkie płowe wąsiki, podkręcone zawadjacko do góry.



Nasi najmłodsi sportowcy.

Jeździec od czasu do czasu oglądał się w tył na swych towarzyszy.

Byli to ludzie służebni, pachołkowie. Ubrani dostatnio. Jeden z nich o długiej złotawej czuprynie, wyglądającej z pod kołpaka, nosił się z polska, drugi czarnooki i czarnowąsy na rączym koniku tatarskim — był Rusinem. Miał szerokie spodnie i baranią czapicę...

Pachołkowie zbrojni w samopały i kozackie szabliska obładowani byli tobołkami...

Ludzie i konie byli zmęczeni. Jechali krok za krokiem. Snać przebyli daleką i uciążliwą drogę, w którą wyruszyli nie dziś i nie wczoraj...

Młody szlachcic na chwilę zatrzymał konia i zwracając się do kozaka zapytał:

— A daleko tam jeszcze do zamku, Semenie?

— Ta niby blisko, myłość wasza — ale do zmroku nie żdążym. A po ciemności nie wpuszczą...

— To źle — mruknął młody pan. — W lesie nocować nie będziemy.

— Wsiako buwaje — odparł półszeptem Semen.

Tymczasem słońce gasło na zachodzie w dębowych lasach. W powietrzu zapanowała wielka przedwieczorna cisza, nie mącona już śpiewem ptasząt i szumem listowia. Gdzieś z daleka tylko dolatywały porykiwania zwierzyny w dzikich ostępach... Las kładł się do snu.

Coraz gęściej zapadał zmrok.

— Semenie — ozwał się znowu młody pan — znasz dobrze te strony?

— Znaju, panie!

— Skoro do zamku nie puszczą, bo nas tam nie czekają — trza myśleć o noclegu. Jest tu gdzie chociarz kurzeń jaki?

— Mynuło dwa roki, jak tu byłem, ale musi być niedaleko kureń starego posiecznika. Może jeszcze nie pomarł did, choć bardzo był stary.

Semen wysunął się naprzód, gdy leśna droga zbliżała się do wzgórza, pilnie jął przypatrywać się dąbrowie z prawej strony.

— Tu bude ścieżka.

Jakoż po kwadransie ścieżka się znalazła.

Jeźdcy, wszyscy trzej, wjechali w gęsty las, posuwając się niemal poomacku.

Po kilku pacierzach Semen stanął.

— Z koni — rzekł krótko. — Kureń na dole.

Z trudnością dostali się na dno parowu, idąc wśród zarośli wierzbowych, leszczyn i głogów.

Did — pasiecznik, na głośne wołanie Semena wylazł z kurenia i chcąc nie chcąc musiał udzielić gościny podróżnym w swem legowisku.

Spętano konie i puszczono je na świeżą paszę na łąkę, rozpalono ogień i na mchach i sianie ułożono się na spoczynek po posiłku, złożonym z podróżnych zapasów, wiezionych w tobołkach. Did utoczył z baryłki garniec wcale niezgorszego miodu.

W nocy rozśpiewały się na dobre słowiki, słychać było ponure wołanie sów, wrzaski żbików, i inne dzikie głosy puszczy.

Nebo dobrze już zaróżowiło się na wschodzie, gdy młody pan obudził się, zrywając się szybko ze swego mchowego łoża.

— Hej chłopcy zawołał. — Czas w drogę.

Po chwili obaj pachołkowie, przecierając oczy, leniwie oglądać się zaczęli w około, szukając oczyma koni. Starego dida nie było już w kureniu.

Młody rycerz z podziwem oglądał miejscowość, w której wypadło mu spędzić noc majową.



Poczciwy „Miluś” w roli konika.

Było to zaiste niezwykłe uroczysko.

Ogromny kolisty parów na górze otaczały wiekowe dęby. Pochyłe ściany wąwozu okryte były zaroślami, dół zaś stanowiła niewielka polana, gęstą porosła trawą i ziołami. W jednym z kątów polany widać było wielki omszały głaz, z pod którego płynęło się małe źródełko, wsączające się o parę kroków niżej, gdzieś znowu głęboko w ziemię.

Kureń pasiecznika, wkopany w ziemię, okryty gałęziami i darniną — najpierwotniejsza siedziba ludzka w tych stonach, stał na pochyłości parowu tuż obok źródełka.

Wśród krzewów wychylały swe ciekawe główki kwitnące zioła, białe, żółte, różowe... W powietrzu przezroczystem unosiła się delikatna woń kwiecia i budzonej słońcem wiosennem ze snu ziemi.

Skąd się wziął ten kolisty parów, jaki kataklizm natury powołał go do życia?..

Najmniej myślał o tem młody rycerz spieszący sie w dalszą drogę...

Gdy już siadano na koń z krzewów wysunął się do nich gospodarz pasiecznik.

— Sława Bohu — zagadnął.

— Na wiki sława — odpowiedzieli mu chórem.

— A daleko stąd do Lityna?

— Ta wzeź blisko — odparł siwobrody dziad. Jak wyjedziecie na drogę, to już byłoby widać, gdyby nie las.

— A dawno tu siedzicie?

— O dawno, roków tridciat, a może i więcej bude, zliczyć trudno.

— A czyiście wy?

— Ja człowiek wolny, a las ten królewski, zamkowy.

— Nie nudzi się wam tu, didu?

— Czasu na to ne maju. Trzeba bożej chudoby pilnować, pszczołka i ta swoją prawdę mieć musi, choć w dziuple siaduje, gdzie stary dąb, czy lipa, aleć opatrzeć i ją potrzebna, a dużo jej już u mnie w ulach siedzi. Często trza bronić, boć bury kum, kosołapy nie śpi. Tovik [1]) sporo mi szkody narobił. Teraz dalej szukać musi zdobyczy, bo u mnie to trudniej, wie że gościńce na niego czekają.

— No a inny zwierz dziki nie dokucza wam.

— Mnie? Na moją polanę i zły wąż nie wpełznie. Zimą czasem wilk się jaki zabłąka, ale precz idzie... Nie mają władzy nademną. Ja człowiek Boży...

— Boży, powiadacie, didu, ale wróżyć babom i dziewkom, to wróżycie?

— A bo nie? Wróżę nieraz tu i mołodycom i diwczatom. Często przychodzą. A chcecie, wasza miłość, to wam szczyrą prawdu powiem.

Młody rycerz uśmiechnął się ironicznie.

— Nie wierzycie, panie. Czekajcie. Ja z rąk nie wróże ino z wody, z ognia... Zaraz zaczerpnę wody w kubełek.

Stary, pokaszlując z lekka, poszedł do źródełka. Rychło stał przed gośćmi z kubełkiem. Nakreślił jakieś koło, w środku którego postawił dzban, nachylił się nad nim i zaczął szeptać niezrozumiałe, bez widocznego sensu słowa...

Umilkł i jął patrzeć na dno kubła.

(C. d. m.). *Leon Radziejowski.*

---

[1]) Przed rokiem.

Z KSIĘGI PIELGRZYMA

Z POSTĘPEM CZASU.

Ziemia zamknęła kolisko swego obiegu dokoła słońca i na padół płaczu zawitał Rok Nowy.

Wszystkie miasta i wioski, wszystkie biura i serca ludzkie zanotowały na całym świecie nowy krok w postępie czasu.

W każdym z mieszkańców naszej planety, od największego do najmniejszego, zadrżało, jak struna tajemna, to najgłębsze przeświadczenie, że „czas postępuje", że wszystko zatem iść winno „z postępem czasu" Wszystko! Nauka i sztuka, rzemiosła i technika, szkoły i rządy i wreszcie przekonania ludzkie, zasady moralności i religja.

Niema wyjątku i niema pardonu! Kto nie zastosuje się do tego hasła powszechnego: „Musimy iść z postępem czasu!" — ten jest zacofańcem. Dla niego w kronikach współczesnych pisana zagłada. Musi iść z postępem czasu, albo musi umierać.

Nikomu nie tajno, że taki dekret zagłady wypisują przedewszystkiem na Kościół Katolicki jego zaprzysiężeni, jego zaklęci wrogowie.

— Cały świat — wołają, wskazując na Kościół — cały świat idzie z postępem czasu. Tylko jeden Kościół był i pozostał zacofańcem!

Zacofanie Kościoła Katolickiego!... stara to piosenka. Posiada fałszywy tekst i fałszywą melodję. Podobnie, jak hasło bezwzględnego postępu.

Niema na świecie bezwzględnego postępu, jak niema bezwzględnego konserwatyzmu, wyłącznej zachowawczości. Natomiast istnieje na tej ziemi, z woli Stwórcy wszechrzeczy, do pewnego stopnia tylko posunięty postęp i do pewnej miary doprowadzony konserwatyzm, zachowawczość, okrzyczane przez nieświadomych, jako „zacofanie".

Zawsze są czynne dwie te siły. Jedna z nich gromadzi, szuka, tworzy, a druga to, co nagromadzono, znaleziono, stworzono, przechowuje najstaranniej, żeby nie zginęło. Postęp jest siła pierwszą, zachowawczość drugą. Obydwie składają się na harmonijny byt i rozwój świata. Usuńmy jedną z nich, lub drugą — zakradnie się nieład w stosunki, przekreślony zostanie nawet byt świata.

Spójrzmy tylko dokoła siebie! Przecież nawet sam czas, który tak dalece żyje „postępem", że nam stale przynosi „rok nowy", i ten czas opiera się na konserwatyzmie dni, miesięcy i jak w naszych stronach, czterech pór roku — jesieni, zimy, wiosny, lata... Mimo najoczywistszego postępu czasu, jakoś nie zniknęła noc, nie ustał dzień, nie usunięto wschodu i zachodu słońca... Nie zastygło na naszym widnokręgu (chwała Bogu) słoneczka śliczne oko, dnia oko pięknego, jak je nazwał jeden z poetów naszych. (Szymonowicz, Sielanki).

A kiedy — broń Boże — przesunie się zima polarna i zrobi „postęp" w nasze strony, nieprzyzwyczajone i nieprzystosowane do jej ostrości, wówczas tracimy głowy z przerażenia. Zarzekamy się takiego „postępu" w porach roku, urągamy nań wszystkiemi językami Europy...

Słowem, w naturze martwej i w sferach ciał niebieskich cenimy z jednej strony ruch, obiegi gwiazd i pewien względny „postęp", a z drugiej strony wysoko stawiamy zachowawczy ład, zacofany porządek, dzięki któremu pewne zjawiska powtarzają się stale. I najbardziej postępowe głowy zachwycają się po dziś dzień, patrząc rozjaśnioną źrenicą na „zacofany wschód i zachód słońca", gdy się rozleje pożogą purpury po niebie, jak może ongi, za dni rajskich, poraz pierwszy płonął...

Wślad natury martwej idzie żywa. Rzucamy kuleczkę nasionka lipy w ziemię. Po niejakim czasie tryska z ziemi kiełeczek, ukazują się delikatne listeczki zielone. Maleńki szczep rośnie, zamienia się w krzew, drzewko, potem rozłożyste drzewo, na którego koronie spoczywają wieki. Jest „postęp", wspaniały postęp, pachnący miodami przez stulecia. Ale obok tego postępu widzimy niezrównane „zacofania". Z wyjątkiem lipy św. Stanisława Szczepanowskiego na grobie Piotrowina, żadna lipa nie rośnie korzeniami w górę. A i tamta, w parafji Piotrowin rosnąca do dziś dnia, niemy, tysiącletni świadek cudu wielkiego Biskupa, układa tylko koronę „w kształt korzeni", bo ją święty tak zasadził, lecz swoją drogą listki wypuszcza, i kwitnie o swej porze. A naprawdę szkoda! Przecież byłby to ciekawy „postęp" gdyby drzewa wszystkie rość poczęły, nie wydając liści, ni kwiatów!.. Zacofane!

Takiż sam „postęp" „zacofany" widzimy i w królestwie zwierzęcem i w ciele człowieka. Postępuje nurt życia, tworząc nowe osobniki, wydając coraz inne pokolenia, lecz trwa niezłomnie, niecofniony stary, jak świat przedział pomiędzy gatunkami. Trwa bez przerwy. Był przed nami, przetrwa nas i może tyleż jeszcze pokoleń po nas, co przed nami. Z człowieka nie urodzi się małpa, a z małpy dziecko ludzkie. I stale według zacofanego schematu: dwie ręce, dwie nogi, kadłub, głowa, dwoje oczu... Czemuż niema postępu i nie rodzą się ludzie o trzech oczach?

I przyciąganie ziemi jest zacofane, i miłość między ludźmi także jest zacofana, i nienawiść jawi się od dni Kaina...

Wobec tego trudno! Musi być w zasadach swoich „zacofanym" także Kościół Katolicki, bo jest dziełem Boga, Stwórcy „zacofanych niebios i ziemi"..

S. P. M.

KRÓLESTWO BOŻE

Z nad jordanowych wód
Radosna idzie nowina:
Słowo Bożego Syna,
Głoszące człowiekowi Królestwa Bożego Cud.

DUSZA ANIELSKA.

Bądźcież mi pozdrowione,
O przypowieści słodkie
Chrystusa, mego Pana,
Słowo sycące, jak miód...
Winogałązki wiotkie
Gronami obciążone,
Wyrastające z Słowa Chrystusa, mego Pana,
O winnico, winnico tchnieniem Miłości owiana,
Ukazująca Królestwa Bożego Cud...

O błogie przypowieści,
Każda z was Niebo wieści,
Każda z was krajobrazy
Kojące i bez skazy,
Królestwa Bożego mieści...

Chrystus po drogach jasnych chodzi
W słońcu nad rzeką, nad jeziorem.
Z rybackiej uczniów swoich łodzi
Nowinę Boską głosi ziemi...
O radości!
Przejrzą ślepi, usłyszą głusi i przemówią niemi!...
I oto skszydłem lecę skorem
Ku Bożej włości,
Ku tej krainie z przypowieści,
Kędy się Cud niepojęty Królestwa Bożego mieści,
Gdzie Wiara gra, z Nadzieją Miłość śpiewa
I ziemski dzień we Wieczność się przelewa...
Chrystus promiennolicy
Wzywa mnie tam, wzywa do swej winnicy!...

Jak szczęśliwości morze,
Królestwo ogarnia mię Boże...
Ręka bliźniego przyjęta
i zaś bliźniemu podana,
To ręka mojego Pana!
Dziecięcia uśmiech ufny i radosny,
To uśmiech mego Pana i Bożej Wiosny,
Od której słonecznych promieni
Życie cudami się mieni —
I Wiara gra, z Nadzieją Miłość śpiewa
I ziemski dzień we Wieczność się przelewa...

DUSZA BOLESNA.

Z nad jordanowych wód
Idzie Królestwo Boże.
Szatan na drogę ciska
Widziska upojnych złud,
Pokus obleśne widziska.
Od dwu tysięcy lat
Podąża Obietnic Cud
Na ten nieszczęsny świat,
A ciałem stać się nie może!
nie może!
nie może!

Królestwo Boże — Kraj daleki,
W przestworze
Wysoko w myślach zawieszony,
Kraj niedościgły, upragniony,
Marzenie szczytne biednej ziemi,
Która czyż będzie w Niebo wzięta?...
O, nieudolne, mnogie wieki,
Z oczyma beznadziejnie w tę Światłość wpatrzonemi,
Kiedy nieprawość skrzydła pęta...

Idzie Królestwo Boże
Na ten nieszczęsny świat
Od dwu tysięcy lat —
A ciałem stać się nie może!
nie może!
nie może!...

DUSZA MOCNA.

Z nad jordanowych wód
Wysłałeś ku mnie, Chryste Panie,
Królestwo Boże:
Świetlane Ducha objawiłeś Zorze
Dając mi przykazanie,
Bym o nie bój ze sobą w Twojem Obliczu wiódł.

A ze mną bliźni mój: brat mój i siostra moja,
Razem: walczący człowiek —
Nadzieja — puklerz nasz,
Miłość — płomienny miecz i Wiara — zbroja.
I przed Szatanem,
Który zdradziecko rozjaśniwszy twarz,
Rozkoszne grzechu rozsnuł wirydarze,
Strudzonych nie zmrużymy powiek
I niezachwianie,
Modlitwą Twą krzepieni, dążyć będziemy, Panie,
Aż się Modlitwy Twojej zew mocny ciałem stanie,
Aż się Królestwo Boże oczom śmiertelnym ukaże!...

JÓZEF RUFFER.

Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI

KASA IM. MIANOWSKIEKO.

Bez szczególnej reklamy i rozgłosu czynną jest na terenie Polski instytucja, która bezwarunkowo zyskać powinna jaknajbardziej rozgłośne poparcie naszego społeczeństwa.

Instytucją tą jest Kasa im. Mianowskiego.

Cel jej główny — to popieranie jaknajbardziej rozległe nauki polskiej.

Niezmiernie trudne były warunki, w których Kasa była organizowaną. W szesnaście lat po powstaniu styczniowem zapoczątkowaną była działalność Kasy, dzięki incjatywie grona b. profesorów i wychowańców b. Szkoły Głównej w Warszawie.

Ze względu na trudności, czynione Kasie przy zatwierdzaniu statutu przez władze rosyjskie, które dopatrywały się jakiejś ukrytej działalności, Kasa nie mogła ujawnić całkowicie i bez zastrzeżeń zakresu swoich zamierzeń, a chcąc, mimo wszystko, rozpocząć pracę właściwą, musiała przyjąć ciężkie ograniczenia i ustalić cel główny, jako instytucji o charakterze kasy dobroczynnej.

Społeczeństwo polskie odrazu zorjentowało się w intencjach założycieli, poparło instytucję swojem współdziałaniem, jak mogło, i w takich warunkach trudnych prowadzona była Kasa do roku 1907, jako jedyna niemal ostoja polskiego ruchu umysłowego w zaborze rosyjskim.

Postanowiono nadać nazwę Kasie: imienia Rektora Szkoly Głównej J. Mianowskiego. Na czele Kasy stanął Tytus Chałubiński, a w Komitecie m. in., zasiadali Piotr Chmielowski, Dr. Konrad Dobrski, Prof. Władysław Holewiński, Henryk Sienkiewicz, Filip Sulimierski.

Jak rozległą była działalność Kasy, świadczą dane w sprawozdaniu p. t. „Kasa im. Mianowskiego, Dzieje, zadania, organizacja". Udzielono więc zapomóg: 1) na druk 1.000 tomów o przeszło 400.000 stron, 2) opracowanie zgórą 130 dzieł, 3) częściowe pokrycie kosztów wydania 42 czasopism, 4) na prace badawcze koło 200 zapomóg — 40 różnym towarzystwom naukowym, 5) na prace badawcze koło 2.200 zapomóg — 800 zgórą pracownikom naukowym. Pozatem udzielono nagród 115 i stypendjów dla młodzieży około 470. Na te wszystkie wydatki wyasygnowano przeszło zł. 11.000.000.

Suma powyższa świadczy dostatecznie o ofiarności społeczeństwa polskiego, zamieszkałego w kraju i na emigracji zagranicą, w Europie, Ameryce i na zesłaniu na Syberji.

W pierwszym okresie działalności, który obejmuje czasokres do wojny europejskiej włącznie, Kasa zajmowała się głównie udzielaniem zapomóg na badania naukowe. W tym czasie wydany został cały szereg dzieł, a między innemi Kasa pokrywa koszta wydawnictwa: „Poradnik dla samouków", „Świat i człowiek" i „Dzieje myśli". Poza różnemi ofiarami pieniężnemi, które wciąż wpływają, dokonany został w r. 1904 zapis inż. Witolda Zglenickiego działki gruntu naftodajnego na Kaukazie. Ten zapis stał się właściwie podstawą bytu materjalnego Kasy. Niestety, w okresie obecnym panującego w Rosji bolszewizmu dopływu dochodów z tego źródła nie było, chociaż czyniono najzupełniej zdecydowane zabiegi.

Okres drugi Kasy rozpoczyna się od powstania niepodległej Polski. Komitet postanawia przekształcić Kasę na nowożytny instytut popierania polskiej twórczości naukowej, przystępuje do zbierania potrzebnych materjałów, a następnie materjały, ogłoszone zostały w roczniku p. t. „Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój". Wydawnictwo powyższe stało się również zaczątkiem stałego organu Kasy.

W r. 1920 zmieniono statut Kasy, odpadły całkowicie polityczne ograniczenia działalności i pozory dobroczynnego charakteru. Ustalono współdziałanie z Kasą naczelnych instytucyj naukowych oraz szkół akademickich, utworzono Radę Naukową. Władzą zarządzającą Kasą jest Komitet, wybrany przez Radę Naukową.

Już w r. 1920 zorganizowany był pierwszy zjazd z udziałem kilkuset osób, celem wyjaśnienia poglądów na potrzeby naukowe. W r. 1927 zwołany był drugi zjazd i poświęcony zagadnieniu specjalnemu: stosunku pracy pedagogicznej wyższych szkół do naukowej pracy twórczej. Pozatem z inicjatywy Kasy powstała też Komisja Międzynarodowej Współpracy Umysłowej.

Celem poratowania zdrowia pracowników naukowych Kasa im. Mianowskiego przystępuje do zakładania i prowadzenia domów wypoczynkowych, a pierwszy taki dom powstał w Świdrze pod Otwockiem. Oprócz terenu w Świdrze, otrzymała też Kasa tereny w Konstancinie, w Zakopanem i w Maniewiczach na Wołyniu. Projekty budowy jednak nie mogą zostać zrealizowane z braku funduszów.

Dział wydawniczy Kasy również zmodyfikowano. System udzielania zapomóg autorom na wydawnictwa zniesiono, a pracę wydawniczą przejęła Kasa na siebie. Zorganizowano też skład i sprzedaż wydawnictw we własnym lokalu.

W r. 1928 przystąpiono do założenia własnej drukarni, przystosowanej do potrzeb naukowych instytucyj.

Zakres działania tej niezmiernie pożytecznej instytucji jest bardzo rozległy i pracowity.

Dopóki fundusze dopływały z zapisu inż. Zglenickiego, Kasa pod względem materjalnym była dostatecznie uniezależniona, obecnie jednak sytuacja zmieniła się zasadniczo. Pomoc społeczeństwa polskiego jest konieczna.

W treści sprawozdania Kasy czytamy najzupełniej słuszną uwagę, że:

— Instytucja, będąca wyrazicielką pragnień kulturalnych narodu, ma prawo oczekiwać poparcia przedewszystkiem w samem społeczeństwie.

W dalszym ciągu wpływają na rzecz Kasy dosyć liczne zapomogi od Sejmików, Magistratów, nauczycieli i t. p., ogół społeczeństwa bardziej jednak powinien zaznaczyć współdziałanie i zainteresowanie przez zapisywanie się na członków wspierających. Cz. Z.

MUZEUM ORDYNACJI KRASIŃSKICH.

Za parę miesięcy otworzy dla szerszej publiczności podwoje nowe muzeum prywatne w Warszawie, mianowicie Muzeum Ordynacji Krasińskich. Otwarcie tej nowej placówki kulturalnej, mającej zapoznać miłośników przeszłości z zabytkami ze zbiorów rodziny autora „Nieboskiej Komedji", jest zasługą obecnego ordynata hr. Edwarda Krasińskiego.

Muzeum Ordynacji Krasińskich rozpada się na cztery zasadnicze działy: na galerję obrazów, gabinet, zbrojownię, skarbiec.

Pierwsza obok szeregu portretów rodzinnych mieści w sobie wiele cennych obrazów szkół: holenderskiej oraz flamandzkiej. Bogatym wielce dziełem są też zbiory militarjów, gdzie unikatem jest komplet mundurów pułku lekkokonnego gwardji napoleońskiej, którym dowodził hr. Wincenty Krasiński, ojciec wieszcza narodowego, kontynuator literackich obiadów czwartkowych przed stu laty. Niektóre z tych objektów czas jakiś pozostawały w depozycie w Muzeum Wojska w Warszawie. J. M. Ch

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE PRACY PIOTRA STACHIEWICZA.

W Krakowie niedawno temu święcił pięćdziesięciolecie swojej pracy artystycznej Piotr Stachiewicz.

Malarz ten znany jest szerszym ko-

łom, zwłaszcza pokoleniu starszemu, ze swych ilustracyj do „Legend o Matce Boskiej“ Marjana Gawalewicza. Za nie to właśnie przez Polską Akademję Umiejętności przyznana mu została nagroda.

Wogóle Stachiewicz położył zasługi przedewszystkiem, jako ilustrator utworów Józefa Ignacego Kraszewskiego, Henryka Sienkiewicza („Quo vadis“, „Na Olimpje“) i Marji Konopnickiej.

Prace oryginalne Stachiewicza za temat mają przeważnie główki kobiece, spopularyzowane szeroko przez pocztówki, ale poza rutyną szczególnej wartości artystycznej nie stanowią. J. M. Ch.

ROCZNICE MUZYCZNE.

Dnia 23 grudnia r. b. minie sto lat od urodzin kompozytora naszego, Adama Minchejmera, zmarłego dnia 28 stycznia 1904 r. Minchejmer jest autorem znanych pieśni: „Tańczą góralczyki...“ oraz „Hej, flisacza dziatwo...“. Nuty tej ostatniej, która tak szybko przeszła do repertuaru szerokich mas, wyryto na grobie kompozytora na Powązkach w Warszawie.

SALON 1929.

Salon 1929 roku, zorganizowany przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, zgromadził w salach tej zasłużonej placówki kulturalnej zgórą pięćset objektów z dziedziny malarstwa, rzeźby, grafiki, architektury oraz przemysłu artystycznego. Najobficiej przedstawiał się dział pierwszy, najskromniej dział architektoniczny, acz ubogim wielce był także dział graficzny.

Jeśli chodzi o wartość wystawionych eksponatów, to jest ona o rozpiętości bardzo znacznej. Uderzał brak prac twórców wybitniejszych, a i ci co wzięli udział, nie nadesłali rzeczy wartościowych. Np. Wojciecha Kossaka reprezentował tylko „Portret pani S.” z nieodłącznym koniem. Jest to dobry obraz, przejawiający wszystkie zalety pędzla znakomitego batalisty, lecz poza zdobyczami dawniejszemi niema tu nic nowego. Z innych malarzy nie wystawił nic Teodor Axentowicz, zato ciekawie przedstawił się Kazimierz Sichulski. Ten karykaturzysta pur sang, operujący w karykaturach fantastycznie wijącą się linją, paroma tylko rzutami nadający wyraz całości, tym razem dał „Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa”, znany coprawda z Pałacu Sztuki na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Wielkie owo płótno praktykowane jest, jakby jakaś minjatura, uderza ono drobiazgowością wykończenia oraz hieratyczną stylizacją postaci. Artysta ten za całą swą działalność otrzymał dyplom honorowy. Podobny dyplom przyznany został Konstantemu Górskiemu również za całą działalność. J. M. Ch.

Z PIŚMIENNICTWA

DR. MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI: Józef Weyssenhoff, Poeta Przyrody. Stron. 120 — Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

Studjum Dra Mieczysława Piszczowskiego p. t. Józef Weyssenhoff Poeta Przyrody jest pierwszą pracą naukową o twórczości znakomitego powieściopisarza, a równocześnie jedną z tak nielicznych rozpraw o pięknie przyrody w literaturze polskiej. Oblicze duchowe Weyssenhoffa rysuje się w pracy dwoiście: jako satyryka ironizującego świat kulturalny i poety, który jest najbujniejszym a zarazem najwytworniejszym epikiem krajobrazu polskiego. W dziełach Weyssenhoffa wyraził się najzupełniej kontrast kultury i natury, znamienny dla epoki nowoczesnej zarówno radykalny urbanizm, jak ożywiony prąd ochrony przyrody, źródła poważnych wartości społecznych, naukowych i estetycznych.

Autor rozprawy przedstawia i określa szeroką skalę środków, zapomocą których Weyssenhoff wyraził urok zmysłowy i nastrojowy rozmaitych typów pejzażu, uwydatnia prawdę i stylizację opisów, niezwykłą zwięzłość i lapidarność ich ekspresji, sensualizm i uduchowienie, co wszystko czyni z nich częstokroć arcydzieła plastyki epickiej i lirycznej finezji; wreszcie ukazuje doniosłą rolę, którą odgrywa natura, wrośnięta w indywidualny rdzeń dzieła sztuki jako motyw samodzielny, zwłaszcza w Sobolu i Pannie oraz w Puszczy. Deskrypcje Litwy i Polesia, obrazy puszcz, gajów, rostów i wód należą do najznamienitszych w literaturze polskiej, a niekiedy mają znaczenie intuicyjnych wynalazków artystycznych.

Zjawiska przyrody percypuje Weyssenhoff uczuciowo, intelektualnie i pogłębia je estetycznie. Artyzm poety idzie tu w parze z refleksją myśliciela i sumieniem moralisty. Ogromna wrażliwość zmysłowa pisarza jest podłożem konsekwentnego realizmu, skąd znów płynie pociąg do współczesności i skłonność do odtwarzania różnych połaci ziem polskich z ich właściwą indywidualnością kulturalną i odrębnym krajobrazem. Są to motywy, dla których autor charakteryzuje Weyssenhoffa jako regjonalistę „Korsarza”.

Oparłszy swą pracę na szerokiej podstawie porównawczej, stwierdza M. Piszczkowski, iż autor Podfilipskiego należy do wybitnych europejskich pisarzy regjonalnych, a jako moralista i deskryptor jest typowym reprezentantem parenezy i opisowości, dwu tradycyjnych motywów, będących chlubą piśmiennictwa polskiego. — (K).

JOSSEPH CONRAD (Korzeniowski) KORSARZ z przedmową Stefana Żeromskiego. Wyd. Dom Książki Polskiej, 8-ka. Stron 300. Cena 7,40 zł.

„Korsarz” jest powieścią o marynarzu francuskim, który po wieloletniej włóczędze morskiej powraca do ojczyzny za czasów konsulatu Bonapartego, znajduje spokój w cichem ustroniu w okolicach Tulonu, mając za jedyne towarzystwo ofiary wielkiej rewolucji francuskiej. Flota angielska, pod dowództwem admirała Nelsona, blokuje wybrzeże francuskie. Traf zrządził, że nasz Korsarz dowiaduje się o planach admiralicji francuskiej wyprowadzenia w pole floty angielskiej. Postanowił więc plan ten wykonać, udając się samotrzeć na własnym kutrze na pełne morze, z całą świadomością, iż w wyprawie tej zginie w ogniu baterji angielskiej. Osiąga cel i okrywa chwałą banderę francuską, którą Anglicy sami podnoszą w górę, oddając jej cześć przed zatopieniem kutra, w uznaniu dzielności marynarza.

Po przeczytaniu „Korsarza” nie można się dziwić Francuzom, że nazywają Conrada „pisarzem francuskim“. A przecież Conrad jest Polakiem i kult jego wzrasta w Polsce z każdym nowym przekładem jego dzieł, pisanych w języku angielskim. W.

KS. ANTONI BOGDAŃSKI (Teodor Prus): Promienie Słońca. Włocławek, 1929 r. Są to barwne opowiadania z życia świętych, wykazujące, że droga do świętości jest to droga prawdy i spełniania swych obowiązków codziennych. Najświętsza Panna i święci są dla nas pod tym względem przykładem do naśladowania. Niektóre z opowiadań ks. Bogdańskiego stanowią prawdziwe perełki literackie. Książka ta nadaje się bardzo do bibljotek szkolnych i ludowych oraz jako miły upominek świąteczny dla młodzieży. (L.).



Minął rok 1929. Fale czasu szły nieprzerwanie przez wszystkie dnie, godziny i sekundy, miałki piasek w klepsydrach sypał się nieustannie, otwierając i zamykając każdy moment, by go w tej samej chwili pogrzebać na wieki, zapisawszy przedtem na haracz historji całą jego błyskawiczną treść.

To wszystko jest już poza nami... iam vixit... już przeszło bezpowrotnie. Gdybyśmy dzisiaj stali na progu ubiegłego roku, po zdobytem doświadczeniu i przekonaniu się o wielu złudach, inaczejbyśmy zapewne wszystkiem pokierowali.

Człowiek uczy się zawsze do ostatniej chwili swego życia. Ale niechże ta nauka będzie z pożytkiem dla nas. Bądźmy mędrcami życia, nietylko jego przygodnymi aktorami.

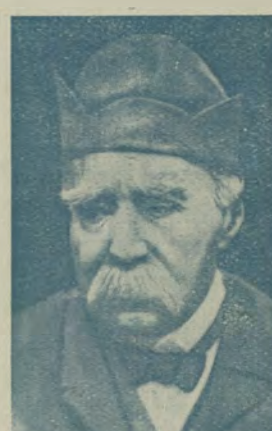
Życie pędzi teraz naprzód w tak szalonem tempie, że wszystko przesuwa się tylko przed oczami jak w oknie samochodu — rakiety. I ludzie tak do tego przywykli, że nie mogą znieść monotonji i powolności i poprostu organizm ich nie wytrzymuje powszedniości, a żąda i łaknie rzeczy nadzwyczajnych, epokowych i piorunnych, jednem słowem... sensacji.

Takich sensacji mieliśmy też wiele w tym roku na terenie politycznym, jak np. konferencję haaską, ciągłe kryzysy parlamentarne, szczególnie ciężkie w tym roku w Anglji, Francji, Austrji i Czechosłowacji, częściowe opróżnienie Nadrenji, okupowanej przez wojska sprzymierzone, wojna chińsko - sowiecka, walki w Palestynie i t. d. i t. d. i na terenie kościelnym — pojednanie Watykanu z Kwirynałem, układy laterańskie i ich skutki, konkordaty, męczeństwa bohaterskich misjonarzy, prześladowania katolików w Meksyku itp. na polu ekonomicznem różne trusty i traktaty, bankructwa fantastyczne, pożyczki wielomiljonowe, projekty unji celnej, Stanów Zjednoczonych Europy i t. d.

Najwięcej jednak sensacji dał nam świat techniczny i sportowy — dwa bogi, czy demony nowoczesnej epoki.

Mieliśmy więc loty transatlantyckie aeroplanów — wszystkie z Europy do Ameryki zakończone tragedją; podróż Zeppelina dookoła świata i okręty szybkobieżne i olbrzymie, samochody rakietowe, projekt torpedy na księżyc, rekordy sportowe jeden po drugim i t. d. i t. d.

Miesiąc ostatni przyniósł nam też sensacji niemało.



Jerzy Clemanceau.

Naprzód tragedje — (lepiej je zawsze odrazu jednym tchem wypowiedzieć).

Całem piekłem tragedyj jest zawsze od tylu lat Bolszewja.

G P U i kontrrewolucja, zawsze lokalna i niezorganizowana jeszcze, pochłaniają codziennie, rzec można bez przesady, tysiące ofiar.

Okropne dni przeżywali i przeżywają jeszcze koloniści niemieccy, uciekający z raju bolszewickiego i radeby ich dusze z tego raju jaknajprędzej się wydostać, ale, niestety... „gościnni" bolszewicy nie chcą się z nimi rozstać, a gdy się żegnają, pozostawiają sobie „na pamiątkę" cały ich majątek.

Za to wysiedlają... żydów z ich osiedli za niedostarczanie zboża. Oczywiście połączone to jest z całkowitą konfiskatą majątku.

Po aferze Biesiedowski — Rojzeman nastąpiły komisje inspekcyjne na różnych sowieckich placówkach dyplomatycznych i handlowych i wskutek dochodzeń masowe odwołania i zmiany. Wielu jednak dyplomatów sowieckich nie posłuchało wezwania swych czerwonych carów i nie powróciło do ojczyzny, a dla własnej obrony zorganizowali oryginalny „związek b. dyplomatów sowieckich".

Gdzie indziej były tragedje, niezależne od ludzkiej woli.

Francja pokryła się żałobą po śmierci jednego z największych mężów stanu, Jerzego Clemenceau, „ojca zwycięstwa", starego „tygrysa", pogromcy 18 gabinetów. Starzec — w myśl swego testamentu — został pochowany w grobie bezimiennym na wsi, w wandejskim ustroniu.

Nieszczęśliwa Martynika, która przed wojną wstrząsnęła całym światem swą tragedją, przeżyła ponowny wybuch wulkanu Mont - Pelé, który zniszczył Ford - de - France, stolicę wyspy.

Na mniejszą skalę, ale również niesamowicie wstrząsnął nerwami wielu ludzi tajemniczy, demoniczny morderca z Düsseldorfu, który ma na sumieniu blisko 30 ofiar, dziewcząt i kobiet i przesyła swą korespondencję do policji, która dotąd jest bezsilną wobec genjalnego degenerata.

I w życiu kościelnem były sensacje, a największą z nich — wizyta włoskiej pary królewskiej u Papieża w dn. 5 grudnia, która odbyła się z wielkiem przepychem i serdecznością.

Po tej wizycie nastąpił jeszcze cały szereg wizyt podobnych: następcy tronu włoskiego, członków Domu Sabaudzkiego i wreszcie w styczniu z kolei Mussolini'ego.

W Bolszewji nastąpiło szczęśliwe fiasco t. zw. „uniwersytetów ateistycznych" z powodu braku kandydatów. W Moskwie na „wykłady"



Min. Kwiatkowski w rozmowie z Posłem Łotwy p. Nikszą.

zapisało się tylko 27 słuchaczów, w Kijowie, w dawnej Ławrze Peczerskiej fatalna liczba 13-tu.

U nas sensacją był apelacyjny proces „arcybiskupa" marjawickiego, Kowalskiego, zakończony zatwierdzeniem wyroku sądu okręgowego w Płocku.

Wyrok ten, da Bóg, będzie punktem zwrotnym w bolesnej dla całej Polski historji marjawityzmu.

W polityce zdarzeń większych nie było, poza ewakuacją 2-ej strefy Nadrenji, co wywołało prawdziwy entuzjazm w Berlinie, i poza gotującym się rozłamem w angielskiej Labour Party z powodu klauzul ustawy o zabezpieczeniu bezrobotnych.

W kraju począwszy od 5 grudnia przeżywamy emocje na tle zmagania się Rządu z Sejmem, a co będzie — nie wiemy.

Najwięcej sensacji daje nam świat finansowy i techniczny.

Pierwszy raz w historji ludzkości zdarzył się tak fantastyczny krach, jaki przeżyła ostatnio giełda nowojorska. Według obliczeń straty, spowodowane tym krachem wynoszą 15 miljardów 320 miljonów dolarów, t. j. około 138 miljardów zł.

Dla ożywienia ruchu finansowego rząd Stanów Zjednoczonych wyasygnował natychmiast 4,5 miljarda dolarów na roboty publiczne.

Europie z powodu krachu nowojorskiego grozi zalanie towarami amerykańskiemi.

W Ameryce Północnej wszystko liczy się na miljardy. Budżet Stanów Zjednoczonych na rok 1930 ustalono w wysokości 4.590.915.809 dolarów, t. j. około 37 miljardów złotych. — W tem ¾ miljarda dolarów na zbrojenia, głównie na flotę wojenną.

Anglja gorzej sobie radzi z krachem i klęską bezrobocia, bo podwyższa , a raczej chce podwyższyć zapomogi, wypłacane bezrobotnym o 10 miljonów funt. szterl., coby wyniosło rocznie 27 milj. funtów szterl., czyli około 950 miljonów złotych.

Metoda ta demoralizuje robotników, którzy nie chcą wyjeżdżać ani na kolonje, ani na roboty do Francji, bo wygodniej im jest otrzymywać zapłatę bez pracy.

Nawet w łonie partji robotniczej powoduje to rozłam i niezadowolenie.

Innej metody trzyma się słynny Henry Ford, który postanowił podwyższyć płacę swej 200-tysięcznej armji robotniczej; co miesięcznie będzie go kosztowało tylko 20 miljonów dolarów.

Jak fantastyczne wprost muszą być wobec tego obroty zakładów Forda!?

Europa również operuje miljardami. Parlament francuski w ciągu 24 godzin uchwalił 202 artykuły ustawy budżetowej na sumę 25 miljardów franków. Rezerwa skarbu francuskiego wynosi 20 miljardów franków. Nic więc dziwnego, że Francja znowu odzyskuje swe dawne stanowisko bankiera Europy.

W miljonach już — nie w miljardach — ale bardziej cennych i drogich każdemu wyraziła się ofiarność młodzieży na misje katolickie. Stowarzyszenie Misyjne Dzieciątka Jezus uzbierało na ten cel na całym świecie 18 miljonów lir, t. j. około 8.150.000 zł. — w tem z Polski około pół miljona zł.

U nas operuje się tylko miljonami najwyżej — ale i za to Bogu dzięki.

W styczniu 1930 r. Polska spłaca 30 miljonów zł. swych długów zagranicznych i wewnętrznych.



Zjazd akademickiego słow. „Odrodzenie" w Warszawie.



Dzień dobroci dla zwierząt w Warszawie

Inne miljony są mniej pocieszające: W ciągu 3-ch kwartałów r. ub. wwieźliśmy do kraju za 340 milj. zł. towarów, których produkcja stoi u nas na tym samym, jeżeli nie wyższym, poziomie, co zagranicą (tłuszcze jadalne, ryby, papier i wyroby z papieru, tkaniny bawełniane, wełniane i jedwabne i t. p.)

Groźne to dla nas memento i donośny apel do uczuć patrjotycznych.

Obliczono również, że 400 milj. zł. płacimy rocznie obcym okrętom za przewóz naszych towarów eksportowych.

W ciągu pół roku do portu w Gdyni przybyło 1.200 okrętów handlowych.

Polska potrzebuje jeszcze 200 własnych okrętów handlowych o ogólnym tonażu 700.000 ton.

Pamiętajmy więc o Komitecie Floty Narodowej i Lidze Morskiej i Rzecznej.

Jeśli już mowa o finansach, zanotujmy jeszcze jeden drobny, ale charakterystyczny wypadek. Na wyspie Majorce zmarł żebrak, Niemiec z pochodzenia, niejaki Pedoberg. Żebrak znany był z wielkiego garbu na plecach. Po zbadaniu zwłok zmarłego okazało się, że garb ów był bardzo oryginalną... kasą ogniotrwałą, gdyż był zrobiony sztucznie ze skóry, a wewnątrz... wypchany dolarami, których naliczono 10.000.

Oprócz tego w skrytce w mieszkaniu żebraka znaleziono sumkę 520.000 pesetów.

Na terenie kultury wielkie triumfy zbierała nasza słynna rodaczka Marja Curie - Składowska, przywożąc z Ameryki odrobinę radu, jako dar dla Polskiego Instytutu Radowego w Warszawie, wznoszonego z subsydjów państwowych i ofiarności szczególnie kobiet polskich.

Wielkie również triumfy odnosił na scenie nasz Jan Kiepura, którego młodszy brat — według własnysh słów artysty — podobno ma jeszcze świetniejszą przed sobą przyszłość.

Triumf natomiast niezwykły odniósł komandor Ryszard Byrd, słynny badacz biegunów, który ostatnio na swym samolocie przeleciał nad biegunem południowym.

W sporcie sensacją było zwycięstwo w Ameryce ekipy polskiej, która już na stałe zdobyła dla siebie Puhar Narodów .

Do Ameryki również po nowe laury wyjechał jedyny w świecie zwycięsca Nurmi'ego, Petkiewicz.

Na terenie wynalazków wchodzimy już w świat niemal bajek.

Słuchanie bicia serca człowieka przez radjo, badanie pacjenta, który siedzi w Berlinie przez doktora z z Buenos Aires za pomocą fultografji, fotografja mgławicy na odległość 700 tryljonów kilometrów, dokonana w obserwatorjum na Mount Wilson; ważenie i mierzenie rzeczy niewidzialnych w t. zw. mikrochemji, poznawanie kłamstwa za pomocą obliczenia ciśnienia krwi i wiele innych fantazyj, którym się poprostu wierzyć nie chce.

Sensacją wreszcie ogólną w kraju i w Europie całej są niezwykłe w tej porze (w grudniu!) ciepła, gdy przeciwnie w Ameryce panują ostre zimna i w Chicago ludzie na ulicach padają z przemrożenia.

Nowy Rok idzie wielkiemi krokami. Pędzi tu nam, jak zwykle, uśmiechnięty. Co nam przyniesie dobrego?

Wszystko w ręku najświętszej, najbardziej kochającej i wszechmocnej Opatrzności Bożej. *B.*



Projekt dekoracji sali sejmowej art. Śledzińskiego (I nagroda).

DZIAŁ KOBIECY

DLA DUSZY.

Naprzód sam siebie zachowaj w pokoju, a wtedy będziesz mógł drugich uspokajać.

Człowiek spokojny więcej się przyda, niźli człowiek uczony.

Człowiek namiętny, nawet i dobre na złe tłumaczy, a złemu łatwo zawierza.

Dobry, spokojny człowiek wszystko na dobre obraca.

Kto stale trwa w pokoju, ten nikogo nie posądza; kto zaś jest niespokojnym i na swojem nie poprzestaje, ten rozmaitemi podejrzeniami targany bywa, i ani sam spocznie, ani drugiemu spocząć dozwoli.

Często mówi, czegoby mówić nie powinien; a nie czyni tego, coby bardziej czynić należało.

Uważa, co drudzy czynić powinni, a zaniedbuje własnych obowiązków.

A przeto, miej naprzód gorliwą baczność na samego siebie, a wtenczas dopiero będziesz miał prawo rozciągać gorliwość swoją i do bliźnich swoich.

TOMASZ A KEMPIS.

„O naśladowaniu Jezusa Chrystusa".

GIMNAZJUM SALEZJANÓW W RÓŻANYMSTOKU

(REFLEKSJE MATKI).

Dojazd nieco niedogodny ze względu na oddalenie parowiorstowe od kolei i złą drogę oraz przedpotopowe chłopskie wehikuły, a pozatem brak jakiegobądź możliwego pomieszczenia (noclegu zwłaszcza) dla odwiedzających rodziców, ale zakład sam przez się zasługuje na podanie o nim informacyj szerszym kołom rodziców. Mieści się w nim gimnazjum męskie z internatem i szkoła rzemiosł. Gimnazjum—obecnie 6-klasowe z co roku otwieraną klasą wyższą, póki nie dojdzie do pełnych 8 klas—prowadzone jest przez Salezjanów z dużym nakładem starań o rozwój chłopców. Jest w niem dużo „maminych synków", którzy — nie wykazując dostatecznej gorliwości w naukach, dopóki byli w domu—tam uczą się lepiej, bo — nie mogą się nie uczyć. Słabsi otrzymują korepetycje i dopilnowanie w odrobieniu zadanych lekcyj, o wykrętach niema mowy. A nad całem ich zachowaniem się i postępami czuwa cały zastęp księży: kochany, jak ojciec, dobrotliwy ksiądz dyrektor Krupisz, ksiądz „radca" właściwie „doradca", ksiądz katecheta i wychowawcy, którymi są kandydaci na kleryków, młodzi ludzie, zwani przez chłopców „ojcami", mający sobie powierzone każdy pewną ilość chłopców, ulokowanych we wspólnych sypialniach.



Uczeń przy zabawie.

Zakład stanowi kompleks dużych murowanych budynków, oświetlonych elektrycznością i posiadających centralne ogrzewanie, a oddalonych od okolicznych wsi, jako całość sama w sobie. Budynki gimnazjalne (wysokie, widne, z wielkiemi salami) otaczają dokoła boiska do gier i zabaw. Za budynkiem, mieszczącym cele księży, rozciąga się kilkunastometrowy ogród i lasek, otoczony murem. Za jadalnią i kuchnią zaczynają się budynki gospodarskie, elektrownia i warsztaty. Dalej jest prowadzona przez siostry Salezjanki szkoła powszechna, ochrona i bursa dla sierot — dziewcząt. A dalej i dookoła ciągną się już pola, przerzynane gajami. Najbliższa wioska Stock oddalona jest o 1 klm.

Chłopcy czują się w gimnazjum dobrze. Oczywiście, zdarzają się niezadowolenia, jak to w takiej gromadzie. Ale, gdy — korzystając z uprzejmie ofiarowanego sobie noclegu u zakonnic lub „pani profesorowej" (zacni profesorostwo Zelnio ustawicznie kogoś u siebie goszczą wobec braku jakiegoś hoteliku) — zostanie się takie zatroskane o synaczka matczysko parę dni i własnem okiem popatrzy na to źródło skargi, okazuje się ona grubo przesadzona. Tak, naprzykład, kwestja odżywiania zmienia wyraz. Są chłopcy skarżący się na złe odżywianie. A obiady są proste, gospodarskie, ale porcje duże, a chleba chłopcy i dojeść nie mogą, że pełno ogryzków na oknach i w kieszeniach „na potem" zostawionych. Juści, kiedy malcom marzą się leguminy, ciasto, torty, nadsyłane w przesyłkach z domów, to tego im księża w menu zakładowem nie dają i — chyba każdy przyzna, że słusznie. Wogóle, nie przypuszczałam, do jakiego stopnia przeciętny ogół lubi sobie dogadzać w jedzeniu, póki nie usłyszałam tych skarg kolegów mego syna. Pozatem jest jedna przyczyna. Mój 10-letni chłopak nie ma zepsutego podniebienia, ale gwałtu krzyczał, że za mało jeść dostaje. Byłam zdumiona, bo dotychczas raczej prosić go trzeba było i zapędzać do stołu. Przeniesiono go zatem na t. zw. „lepszy stół". Tymczasem po przyjeździe przekonałam się, że nietyle odżywianie szwankuje, ile to życie na świeżem powietrzu i ranne wstawanie wyrabia kolosalny apetyt. Chłopak wprost pochłania jedzenie, a wygląda tak dobrze, jak rzadko kiedy dotąd, chyba po pobycie w Zakopanem.

Co do doboru chłopców — to jest mieszanina, jak wszędzie obecnie, ale księża czuwają nad dobraniem każdemu chłopcu odpowiedniego towarzysza pod względem charakteru i zachowania (wychowania). O zabłąkaniu się jakiegoś zupełnie źle wychowanego okazu i wywieraniu przezeń złego wpływu — mowy niema wobec systemu profilaktyki (zapobiegania złemu), stosowanego przez Salezjanów. Palenie papierosów, wychodzenie za mury zakładu — zakazane, a że chłopcy szepczą sobie o przestępowaniu ich przez niektórych „palaczy" — to zdarza się wszędzie. Salezjanie wychowują dobrocią i ogromnem staraniem o zrozumienie psychiki każdego z chłopców, nie postrachem i srogością, stąd — raczej ojcowsko-braterski stosunek do wychowanków.

Różanystok leży pod Grodnem — trzecia stacja na linji kolejowej Grodno — Suwałki. Adres: gimnazjum ks. ks. Salezjanów w Różanymstoku pod Grodnem.

Z. Zaleska.



Uczeń na spacerze.

ODEZWA

Komitetu Organizacyj Kobiecych Zjednoczonych dla wykończenia Instytutu Radowego im. Marji Skłodowskiej-Curie.

Do polskiego społeczeństwa.

Czyż jest w Polsce serce nieprzepełnione dumą i miłością na dźwięk **imienia Marji Skłodowskiej-Curie?**

Czyż jest na świecie kobieta obdarzona tak, jak ona, hołdami i zaszczytami przez wszystkie cywilizowane narody?

Marja Skłodowska-Curie jest dwukrotną laureatką nagrody Nobla, członkiem honorowym niezliczonych Instytucji Naukowych. Jej imieniem nazywają powstające w Stanach Zjednoczonych i w Londynie Instytuty Chemiczne i Radowe. Ameryka po raz drugi już składa w Jej ręce dar grama radu, tym razem — na Jej życzenie — dla Warszawy. Francja ofiarowuje jej dożywotnią rentę, czcząc Ją jako Wielką francuską uczoną!

A my — rodacy — Marji Skłodowskiej-Curie — co zrobiliśmy dotąd dla Niej? Czem staramy się przekonać świat, gdzie jest prawdziwa Ojczyzna Wielkiej Uczonej? Skąd jest rodem Ta, której myśl genjalna taki przewrót w Nauce wywołała, Ta, która przyniosła ludzkości w darze jedno z największych odkryć doby współczesnej, tak doniosłe, dla sprawy zwalczania raka? Niestety, dotąd bardzo mało...

Wiemy, jak gorąco Wielka nasza Rodaczka pragnie, aby powstał Instytut Radowy w Warszawie — w tem drogiem Jej sercu mieście, gdzie przed laty ujrzała światło dzienne...

Ona sama 8 lat temu rzuciła hasło stworzenia Instytutu Radowego w Warszawie, sama teraz zdobyła dlań w Ameryce 1 gram radu! A jednak Instytut ten nie jest dotąd gotów... Budowa ciągnie się już lat 5, a dla wykończenia go brak jeszcze 900.000 zł....

Tak dłużej być nie może! Honor Polski na to nie pozwala!

My — kobiety polskie — zrzeszone w Komitet Organizacyj Kobiecych Zjednoczonych dla wykończenia Instytutu Radowego im. Marji Skłodowskiej-Curie — uważamy za nasz obowiązek spełnienie gorącego życzenia Wielkiej Uczonej i rozpoczynamy pracę w tym kierunku.

Wzywamy całe Polskie Społeczeństwo do współudziału! Niech wszyscy staną do apelu! Niech każdy pośpieszy z większą lub mniejszą ofiarą w miarę swej możności, lecz niech się nikt od tego obowiązku nie uchyla! Narodom, składającym hołdy i dary Wielkiej Polce niech Polska dorówna!

Siedziba Komitetu: Gmach Instytutu Radowego, Wawelska 3. Od 9—15, teł. 537—38. Sekretarjat przyjmuje zgłoszenia, udziela informacyj i druków.

Ofiary przyjmują: Kurjer Warszawski, Biuro Komitetu, oraz P. K. O. konto 9535.

KOBIETY DZISIEJSZE

Młoda, ładna, energiczna, pogodna, pełna zapału do pracy, z najgorętszem sercem dla sprawy publicznej i dobra kraju, p. Zofja Iwaszkiewiczowa, szczególną zwróciła moją uwagę na jednem z kobiecych zebrań przedwyborczych do Sejmu, na którem zabierała parokrotnie głos.

To też, kiedy przewodniczący rozdziela funkcję wśród obecnych, a mnie, żonie artysty dramatycznego, a więc zżytej z teatrem i jego stosunkami wewnętrznemi, przeznaczyła Teatr, jako teren agitacji, prosiłam, aby mi w robocie towarzyszyć zechciała p. Zofja Iwaszkiewiczowa.

Pamiętam, jak z uśmiechem przyjęła moją propozycję, mówiąc jednak, że nigdy za kulisami nie była i że, nawet, wprawia ją to w pewne zakłopotanie, czy potrafi wywiązać się z zadania w tem środowisku.

Nie zdziwiłam się. Świat zakulisowy, to jakby coś z tajemniczej sekty, niemal dla każdego, kto się go bliżej nie dotknął. Ale czy komuś, kto nie pracuje: w uniwersytecie, sądzie, szkole, redakcji, są znane wewnętrzne stosunki tych instytucyj? Że łatwiej się w nich orjentować, prawda. One wszystkie służą nauce, życiu realnemu, bezwzględnej potrzebie. Teatr służy—Sztuce. I, jak ona nie dla każdego dostępna, tak i środowisko skupiające się koło niej nie zawsze bywa słusznie oceniane i właściwie zrozumiane.



Zofja Iwaszkiewiczowa.

Mając upoważnienie dyrekcji, w czasie przerw między aktami, biegałyśmy po garderobach specjalnych i zbiorowych, artystek, statystek, chórzystek i po garderobach baletowych. Wszystko w błyskawicznym pośpiechu, skupiając całą gorącość serca, starając się słowami nielicznemi ale dosadnemi motywować, przekonywać, popierać sprawę narodową z tą werwą, jaką daje wiara i przeświadczenie czystości swej wewnętrznej prawdy. Słowa nasze były przyjmowane serdecznie. Dziękowano nam. Wyrażano wdzięczność. A kiedy, siedziałyśmy na jakim końcowym akcie przedstawienia w loży, wnikająca zawsze głębokiem spojrzeniem w każde obserwowane zjawisko życia p. Iwaszkiewiczowa rada, że widziała to, co ukryte zawsze dla widza, to znaczy całą maszynerję ruchu przygotowawczego do wyjścia na scenę, podziwiała nakład gorączkowej pracy i wrażliwość natur artystycznych, których puls bił z taktem słów naszych, które dały się brać w koła naszych umiłowań, które nam wierzyły i z nami raczej czuły. Ówczesne wybory potwierdziły też jednomyślność wszystkich kobiet, we wszystkich sferach, a więc i wszystkich kobiet teatru.

Mały ten epizod przyszedł mi do pamięci w chwili, w której przeczytałam, że p. Iwaszkiewiczowa, która nigdy nie przestała mnie zajmować obejmuje odpowiedzialne stanowisko: Kierowniczki sekcji oświatowej pozaszkolnej magistratu m. st. Warszawy.

A ucieszyło mnie to tem więcej, że żona prof. historji i docenta uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i kustosza archiwum akt dawnych w Warszawie, p. Janusza Iwaszkiewicza, matka 13-letniego już dziś syna, który nie znał nianiek ani korepetytorów, ale zna dobrze swą matkę, prowadząc życie pracy i nauce poświęcone, nie zaniedbała niczego, co w zgodnej harmonji wiąże ludzi na życie, nie skruszyła żadnej cegiełki budowy, której na imię: Rodzina. *L. Kotarbińska.*

P. Zofja Iwaszkiewiczowa. Urodzona w Częstochowie w r. 1885, jako córka znanego prawnika Feliksa Cieszewskiego, od lat najmłodszych wykazuje wybitne zdolności w kierunku nauk matematycznych. W r. 1903 kończy gimnazjum w Piotrkowie ze złotym medalem, uzyskuje świadectwo nauczycielki języka polskiego i matematyki i zapisuje się na t. zw. „uniwersytet latający" w Warszawie, gdzie słucha wykładów prof. Mahrburga, Anieli Szycówny, Izy Moszczeńskiej, prof. Chlebowskiego i in. W 1905 r. przyjęta już na uniwersytet Paryski, zmuszona jest wskutek choroby ojca porzucić projekt wyjazdu i jąć się pracy zarobkowej, jako nauczycielka w gimnazjum ś. p. Pauliny Hewelkówny. W swem dążeniu do dalszych studjów nie ustaje jednak i w r. 1908 kończy dwuletnie kursa matematyczno-fizyczne pod kierunkiem prof. Dicksteina. Następnie wciąż pracując jako nauczycielka w gimnazjach żeńskich, studjuje dalej matematykę, pedagogikę i psychologję pod kierunkiem prof. Straszewicza, Rudnickiego, Lucjana Zarzeckiego i in. W r. 1917 wstępuje na Uniwersytet Warszawski, wydział filozoficzny, początkowo jako wolna słuchaczka, a od r. 1919 do 1921 jako studentka rzeczywista. W r. 1923 uzyskuje dyplom z ukończenia Państwowego Instytutu Pedagogicznego, w r. 1926 — dyplom nauczycielki matematyki w szkołach średnich.

Na polu społeczno-oświatowem pracuje od r. 1905, najpierw na tajnych kursach dla dorosłych pod kierunkiem ś. p. Mieczysława Brzezińskiego i ś. p. M. Dzierżanowskiej, następnie w uniwersytecie ludowym Polskiej Macierzy Szkolnej. Bierze udział w organizowaniu ludności gmin w Zamojszczyźnie celem przeprowadzenia uchwał o wprowadzeniu do urzędów gminnych języka polskiego. (Akcją tą kierowali pp.: Moskalewski i Jan Sajkiewicz). Po rozwiązaniu Polskiej Macierzy Szkol-

nej wraca znów do roboty oświatowej tajnej, pracuje na kursach Jaczynowskiego.

W r. 1910 zostaje wybrana do zarządu Stowarzyszenia nauczycielstwa polskiego, które połączyło się następnie ze Związkiem nauczycielskim, a po wielkiej wojnie Tow. nauczycieli szkół średnich i wyższych. Na terenie tej organizacji pracuje bez przerwy po dzień dzisiejszy na różnych stanowiskach, ostatnio jako członek zarządu głównego, przewodnicząca Komisji rozjemczej i przewodnicząca Komisji do spraw szkolnictwa żeńskiego.

W r. 1914 zostaje powołana do Komisji pedagogicznej, która, pracując pod przewodnictwem ks. Gralewskiego, przygotowała projekt organizacji szkolnictwa w niepodległej Polsce, wprowadzonej w życie przez pierwsze władze oświatowe zmartwychwstałego państwa.

Od r. 1917 aż do chwili rozwiązania delegacji miejskich w r. 1924 bierze udział w delegacji wydziału oświaty m. st. Warszawy. Rozpoczyna zatem pracę w samorządzie wówczas, gdy na tym terenie prócz niej pracowała jedna jeszcze tylko kobieta — p. Szlenkerówna — w szpitalnictwie. Zajmuje się tam przedewszystkiem oświatą pozaszkolną i specjalizuje w tym dziale. Powołana jest następnie na członka Rady kursów dla dorosłych.

Jako członek sekcji polskiej międzynarodowej „Ligi Nowego Wychowania", studjuje najnowsze prądy i metody pedagogiczne, biorąc udział w pedagogicznych kongresach międzynarodowych.

Wśród organizacyj kobiecych cieszy się uznaniem i powagą, czego dowodem jest stałe powoływanie jej na członka zarządu Rady Narodowej Polek — organizacji centralnej wielu polskich stowarzyszeń kobiecych.

O ŻYCIU TOWARZYSKIEM

Kawiarnia na codzień, dancing na święta i ta dziwna gorączka powojenna stały się dla życia towarzyskiego, jakby nasennym zastrzykiem.

Ludzie zapomnieli o możności spotykania się ze sobą na terenie własnego domu. Na usprawiedliwienie jednak tego niezdrowego objawu, jakim jest zanik współżycia towarzyskiego, przytoczyć trzeba fakt, iż szczęśliwców, posiadających własne, wygodne mieszkanie, jest ilość znikoma.

Warunki mieszkaniowe zaczynają powoli lecz systematycznie się polepszać, miejmy więc nadzieję, że z unormowania się ich nastąpi samorzutny nawrót do wskrzeszenia dawnych tradycyj. Są niektórzy ludzie usposobieni sceptycznie do przyjęć domowych.

Uważają, że to przedewszystkiem kosztuje drogo, jest bardzo fatygujące dla gospodyni domu, a nierzadko przyczynia się do... konfliktów towarzyskich, jeśli który dom robi zbyt skromne, albo też zbyt wystawne przyjęcia w porównaniu z pozostałemi.

Mam wrażenie, że jest to nawskroś założenie mylne. Czyż ludzie spotykają się jedynie poto, aby jeść? A czemu wobec tego kawiarnia zawdzięcza dziś swe niepodzielne królowanie, jeśli nie wrodzonej naturze ludzkiej potrzebie współżycia z sobie podobnymi?

„Człowiek jest stworzeniem towarzyskiem" — stara to prawda. Dla niego wymiana myśli choćby najbłahszych z otoczeniem jest tak potrzebna do egzystencji, jak woda, powietrze, sen...

A młodość tak żądna jest wesołości, uciechy. I trzeba je tej młodzieży dać i to w najzdrowszej formie, w domu.

Niechaj mamy i ciocie nie uchylają się od urządzania u siebie, w okresie karnawałowym „rozkosznych wieczorynek" dla swych córek i synów, o których wspomnienie towarzyszy nam zawsze do późnej starości.

A wysilać się na przyjęcie nie potrzeba. Kilka tac z tartinkami, które przygotują ochoczo same panienki, barszczyk czerwony lub buljon w filiżankach oraz bigos na gorąco zastąpią znakomicie wystawne kolacje.

A jednocześnie co za korzyść! Takie przyjęcie pozwoli paniom bawić się ze swemi córkami i radować się ich szczęściem. Pączki, chróściki, czy kruche ciasteczka staną się jedną słodyczą więcej, a lemonjady cytrynowe lub pomarańczowe będą znakomitym napojem chłodzącym.

Dziś do urządzenia takiego przyjęcia nie może stać na przeszkodzie nawet brak fortepianu, gdyż idealnie zastąpi go dansephone lub głośnik, z tą nawet korzyścią, iż zaoszczędzi wydatku na grajka.

A więc bawmy się w domu! I nie pozbawiajmy dobrowolnie dzieci naszych tego czarownego przeświadczenia, w którem wzrośliśmy sami, że dom własny jedynie może być naszem ogniskiem radości.

PRZYGOTOWANIE GOSPODARCZE KOBIET

Zagadnienia rodziny, domu, a z niemi i gospodarstwa domowego są tak ściśle i można powiedzieć wyłącznie zespolone z życiem kobiety, że nie dadzą się one wyrzucić bezkarnie poza nawias jej poczynań i zainteresowań.

Mimo, iż tendencje końca XIX wieku nie maskowały wrogości swego ustosunkowania do zadań gospodarczych kobiety, nietylko wzbraniając jej jakiegokolwiekbądź przygotowania w tym kierunku, lecz nadto walcząc bronią niezawodną kultywowania w kobiecie nienawiści do zajęć domowych, dziś kobieta współczesna odczuwa dotkliwie całą fałszywość ówczesnej demagogji.

Obowiązki gospodarcze kobiet, a nadewszystko rodzaje ich spełniania i traktowania obarczają nietylko poszczególne jednostki, lecz obejmują całe społeczeństwo, odbijając się w równej mierze w złem jak i dodatniem znaczeniu na całokształcie życia ekonomicznego narodu. Coraz trudniejsze warunki egzystencji nie pozwalają kobiecie na pozostawanie w domowem zaciszu, gdyż zmuszona jest ona dzielić troskę o dostatni byt rodziny wraz ze swym mężem.

Niemniej jednak praca zawodowa kobiet nie zwalnia ich z obowiązków żon i matek, których żmudne i odpowiedzialne czynności zamykają się w ramach domowego ogniska.

Śmiało rzec można, że o ile kobieta wywalcza sobie zwycięsko szeregi placówek o coraz szerszym zasięgu, to niemniej na długo jeszcze pozostaną niewzruszone takie tereny jej działalności, gdzie kobietę niełatwo zastąpić może kto inny.

Cóż z tego jednak, że większość kobiet pracuje obecnie zarobkowo, gdy dochody ich częstokroć pozostają bez większego znaczenia dla całokształtu dobrobytu rodziny? Dzieje się to tem, że ster gospodarstwa w takich razach spoczywać musi z konieczności w rękach istot płatnych, obcych, a nierzadko wrogich.

Służba dzisiejsza odbiegła daleko od typu służby z przed ćwierćwiecza, na co zresztą złożyły się tysiączne powody. Niemniej dziś nie istnieje już ta nieuchwytna więź serdeczna, jaka panowała dawniej między panią a jej służącą i dlatego nie można bezkrytycznie ufać dzisiejszym naszym dziewczynom i pozostawiać je bez należytego nadzoru i kontroli.

Trzeba zresztą przyznać, że brak zainteresowania sprawami gospodarskiemi w domu własnym wypływa u kobiet częstokroć z przemęczenia pracą, jest to więc zupełnie naturalny odruch zabezpieczenia sobie upragnionego spokoju.

Zbyt jednak drogo beztroska ta kosztuje tak pod względem moralnym, jak i finansowym. Kobiety nie powinny zapominać, iż nie wolno im być ignorantkami we własnym domu, ponieważ one są jego energją twórczą i dlatego nie mogą na rzecz niczyją rezygnować ze swego czołowego stanowiska. Tem więcej, że jednak odpowiedzialność za współżycie rodziny między sobą obarcza jedynie kobietę.

Na uspokojenie pań, przerażonych może grożącym im nawrotem ku sprawom gospodarczym, zaznaczyć należy, że nie jest to bynajmniej równoznaczne z koniecznością mycia własnoręcznie garnków, gotowania, zmywania i t. p. Bynajmniej, ale pani domu obowiązana jest wszystko umieć i na wszystkiem znać się gruntownie co tylko wchodzi w zakres spraw gospodarczych.

Można samej nie gotować, lecz trzeba wiedzieć, jak się przyrządza dane potrawy, aby na wypadek interpelacji ze strony służącej nie pozostawić jej bez wyjaśnienia. Trzeba pozatem móc dokładnie obliczyć jakość i ilość otrzymanej w pewnej wydzielonej proporcji produktów. Tak samo należy orjentować sie racjonalnie w czasie trwania sprzątania lub prania, ilości zużytego mydła oraz posiadać nieomylny sąd w ocenianiu jakości wykonanej pracy.

A właśnie do należytego sprostania tym warunkom trzeba mieć z konieczności minimalne choćby przygotowanie praktyczne z zakresu gospodarstwa domowego.

Kwestja uzbrojenia kobiet w konkretną samodzielność i w tej dziedzinie staje się aktualną troską obecnej doby. Szkoły powszechne wprowadzają do swych programów obowiązujące wykłady teoretyczne i praktyczne raz w tygodniu z dziedziny gospodarstwa domowego. Taką wzorowo urządzoną kuchnię posiada szkoła w Warszawie przy ulicy Grójeckiej 93. Oprócz tego poszczególne zakłady wychowawcze jak np. św. Teresy i inne również uzupełniają swe programy zajęciami gospodarczemi, których kierownictwa podejmują instruktorki z seminarjum państwowego rok rocznie zasilające nasze kadry gospodarczego przeszkolenia kobiet.

To jednak, co się robi z dziewcząt młodych, może dać rezultaty dopiero za lat parę, gdy tymczasem istnieją całe zastępy kobiet, które pragnęłyby pogłębić swe wiadomości praktyczne, lecz nie znajdują żadnych w tym kierunku możliwości. Dla tych kobiet jedyna droga krótkich parotygodniowych kursów, oraz konieczność zrzeszania się między sobą.

Pierwszą i jak dotychczas jedyną placówką, pracującą usilnie w celu obudzenia wśród kobiet potrzeby zrzeszania się i okazywania wzajemnej sobie pomocy, jest Koło studjów gospodarstwa domowego w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej 149. Raz na miesiąc odbywające się tam zebrania informują członkinie o wszelkich najnowszych zdobyczach technicznych z dziedziny gospodarczej. Wygłaszane na aktualne tematy odczyty i dyskusje przyczyniają się do żywej wymiany bolączek i projektów na przyszłość. A ostatnio uruchomione przy Kole kursy trzymiesięcznego gospodarczego przeszkolenia kobiet pozwalają wierzyć, iż jaknajszerszy ogół kobiet mógł z biegiem czasu uzupełnić swe braki praktycznego przygotowania życia..

M. A.

Z DZIEDZINY MODY

SUKNIE ZIMOWE WIECZOROWE.

Karnawał przed nami. Czas najwyższy zasięgnąć informacyj, co jest najchętniej noszone przez elegantki wielkoświatowe, bo przecież zawsze nakazy mody wchodzą w życie bez protestów. Pokazy mód są już dawno poza nami. Moda teoretycznie wypowiedziała się w zupełności.

Zobaczymy, jak do jej projektów dostosowało się życie. Przedewszystkiem kwestja kolorów. Czerń, stanowiąca zasadniczy ton (zresztą bez specjalnego uzasadnienia) jesienią, obecnie przeszła do roli tła uwypuklającego z tem większą dokładnością całą paletę barw pastelowych, jakie będziemy spotykać na wieczorach i balach.

Specjalne faworyzowane będą stonowane kolory złote, różowe aż do blado lila, oraz jako zupełnie odrębna barwa wystąpi seledyn, fosforyzujący, zbliżony do blasku sztucznego, elektrycznego światła. Zarówno jak i kolory, radykalnym zmianom uległ całokształt sylwetki kobiecej, jeśli zechcemy porównać ją z sezonem ubiegłym.

Talja podwyższyła się prawie że do naturalnej linji stanu, a długość sukien obniżyła się znacznie ku dołowi.

Przód odsłania nam jeszcze nogi do połowy, natomiast tył kryje nawet rąbek pantofelka, który dyskretnie błyska z pod fałd spodnicy ornamentem ze strassów lub stalowych paciorków. Dekolt duży wydłużony na plecach przysłaniają fantastycznie przeciążania z materyj, delikatny owal wycięcia z przodu przy zupełnym braku jakichkolwiekbądź ozdób nadaje dziwnie skromny i dziecięcy prawie wdzięk najwyszukańszym toaletom. Z pośród różnorodnych materjałów balowych najpożądańsze są taffetasy oraz tiule dla osób szczupłych i wiotkich, dla tęższych redows-chiffon'y gładkie lub deseniowe, z przewagą wyraźną wzorzystych ornamentów w kwiaty stylizowane. Z jedwabiu crepe-satin niewątpliwie jest najbardziej dystyngowany, temwięcej, że obecnie obraca go się na stronę matową.

Jako ozdoba sukien wieczorowych powraca haft metaliczny z paciorków lub poprostu blaszek stalowych, których efekty — wyznać trzeba — są znacznie wykwitniejsze od ornamentacyj ze sztucznych brylantów, które nadały każdej, najstrojniejszej nawet toalecie pewien styl sceniczny.

Idealne wypełnienie sukni balowej stanowi rozkoszny żakiecik, który może być nawet z innego zupełnie materjału aniżeli suknia, byleby pod względem koloru i fasonu stanowił z nią harmonijną całość.

Do sukni tiulowej czy w georgete'y żakiecik taki może być z velours'u lub crepe-salin. Natomiast przy sukni velours'owej można go zrobić z koronki jedwabnej lub georgete'y. Żakieciki te ozdobia się haftem metalicznym lub okła-

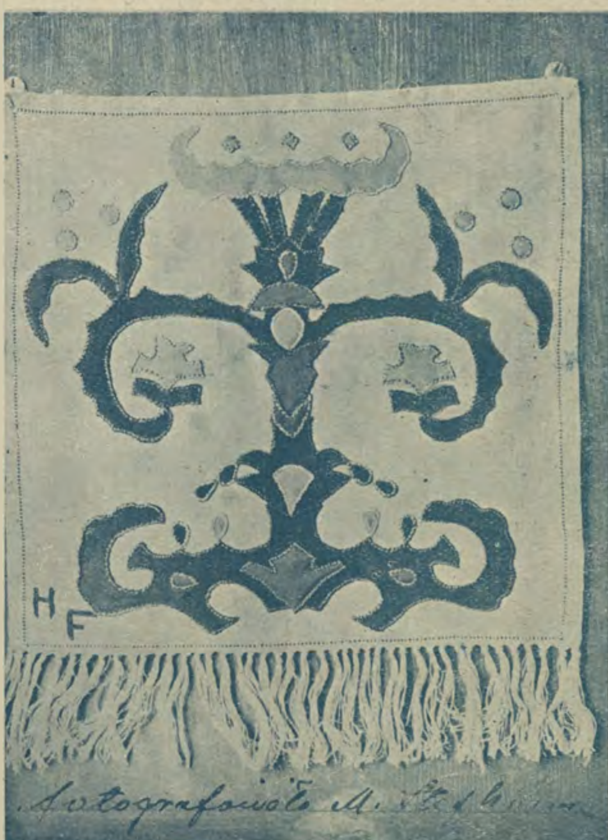
da puszystem futrem, gronostajami lub też robi się do niej obramowanie ze strusich piór wiązanych.

Ten wybryk mody, choć podwyższa znacznie koszt balowej toalety, ma tę dodatnią stronę, że idealnie chroni od zaziębienia przy ciągłej zmianie temperatury, jaka zwykle panuje na balu.

M. A.

WZORY LUDOWE W APLIKACJI

W okolicy Kielc i Radomia za dawnych lat zdobiono sukmany wieśniacze wycinankami z czerwonego sukna, naszytemi na szary wojłok. Wśród wycinanek krakowskich znajdujemy całe bogactwo motywów kolorowych, które jako aplikacje służyć mogą do ozdoby sukien, torebek, poduszek i makat. Wykonanie aplikacyj nie przedstawia trudności, wymaga tylko dokładności.



Wzór haftu z okolicy Kielc i Radomia.

Mając starannie odrysowany wzór, wycina się z materjałów kolorowych poszczególne jego części i układa według rysunku na materjale, który stanowi tło i jest rozpięty starannie na desce. Wycięte części, fastryguje się do tła, jak wskazuje wzór Nr. 1, i cienką nitką obrzuca drobno brzegi. Można wreszcie obdziergać je gęsto, jak dziurki na hafcie, lecz sposób ten stosuje się częściej przy materjałach jedwabnych, a nie w aplikacji sukiennej lub płóciennej. Wzór Nr. 2, to makatka z wycinanki krakowskiej.

Sukienne, barwne szczegóły przyhaftowane są na szarem płótnie kolorowym jedwabiem. Makatka ta wykonana przez p. Halinę Flakowiczównę, art. mal. z Krakowa, zwracała uwagę na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu oryginalnym wzorem i pięknem wykończeniem.

Marja Stefkowa.



Wzór do aplikacji.

WSPANIAŁY DAR AMERYKANSKI DLA MARJI SKŁODOWSKIEJ-CURIE

Amerykanki, wielbicielki naszej genialnej uczonej, p. Marji Skłodowskiej-Curie, o której życiu i naukowych odkryciach niebawem obszerniejsze damy artykuły, wiedząc, że „najgorętszem życzeniem" jej jest: aby w Warszawie stanął „Instytut Radowy", dzielnie nam pomagają w tej chwili. Bo oto, kiedy budynek wielki pod dachem czeka wykończenia, kiedy jest prawie skończony budynek przeznaczony na Rad, sumy, której potrzeba, aby sam Rad zdobyć, nie mieliśmy. Amerykanki — zapraszają p. Curie. Prezydent daje jej gościnę w swym sławnym „Białym Domu", a na pożegnanie wręcza 50.000 dolarów do rozporządzenia Uczonej.

P. Marja Skłodowska-Curie, lojalna obywatelka francuska, nie przestaje być najlepszą córką swej Ojczyzny — Polski i dar amerykański przeznacza na zakup jednego gramu Radu dla „Instytutu Radowego" w Warszawie. Wszystkie kobiety polskie winny ofiarnością przyczynić się do ukończenia dzieła zaczętego i choćby najdrobniejszemi datkami wyrównać sumy, których jeszcze brak na ukończenie budowy.

Emanacja Radu daje, w przystosowaniu do leczenia raka dodatnie rezultaty. A ponieważ ta straszna choroba szerzy się z niesłychanem okrucieństwem, zwłaszcza wśród kobiet, niechże nie będzie żadnej, któraby nie przyczyniła się groszem ofiarnym do stworzenia wielkiego dzieła.

L. K.

Co robią nasze kobiety

Na 13 międzynarodową Konferencję pracy w Genewie w gronie rzeczoznawców delegacji polskiej wysłana była przez Ministerjum Pracy i Opieki Społecznej p. Leont. Frankowska, radca tegoż ministerjum.

Koło studjów gospodarstwa domowego w Warszawie nie może już pomieścić swych członkiń w dotychczas użyczanym przez Stow. Ziemianek lokalu i przenosi się do nowej siedziby przy ul. Narbutta.

Liga gospodyń słowiańskich zawiązała się na ostatnim zjeździe warszawskim polskiej Rady naczelnej gospodarczego wykształcenia kobiet, na który przybyły delegatki związku gospodyń z Czechosłowacji. Do Ligi należeć mają Polki, Czechosłowaczki, Jugosłowianki, Bułgarki i dodatkowo — Rumunki.

GIMNAZJUM C. PLATERÓWNY

Koło b. wychowanek gimnazjum C. Platerówny zorganizowało w listopadzie kurs pracy w świetlicach dla dzieci szkolnych i młodzieży pozaszkolnej celem przygotowania swych członkiń dla wzięcia udziału w tym dziale opieki społecznej. Program objął szereg interesujących wykładów pedagogów i działaczy społecznych. Dr. M. Śliwińska-Zarzecka mówiła o znaczeniu pracy społecznej w ogólnym dorobku narodu. Ks. dr. Wł. Lewandowicz — o katolickiej akcji społecznej. Dyr. Polskiej Macierzy Szkolnej Józ. Stemler omówił zadania pracy społecznej i jej formy zasadnicze oraz dał ogólną charakterystykę pracy kulturalno-oświatowej. Sekretarka Szkoły pracownic społecznych, p. Zofja Zamoyska, która podczas studjów swych w Belgji poznała życie tamtejszych sfer robotniczych, pracując umyślnie jako prosta robotnica w jednej z fabryk, zobrazowała swoje obserwacje. Referat jej wskazał wytyczne, jakiemi kierują się tamtejsi działacze katolicko-społeczni w przygotowywaniu fachowem i ideowem przeciwników społecznych i w pracy pozaszkolnej nad młodzieżą. Zakres i potrzeby pracy w świetlicach przedstawiła p. H. Dobrzyniecka. Ks. Kowalczyk zapoznał słuchaczki z organizacją świetlic dla młodzieży pozaszkolnej i podstawami psychologicznemi pracy świetlicowej. P. W. Podlewska wskazała, jaką drogą kształcić poczucie artystyczne. Dr. M. Skokowska-Rudolfowa podkreśliła gorąco sprawę higjeny w świetlicach. P. St. Natanson rozwinął poglądy na pracę społeczno-oświatową z punktu widzenia potrzeb kultury obyczajowej i estetycznej. Dr. Śliwińska-Zarzecka omówiła jeszcze akcję wykładową w świetlicach. Ks. Kowalczyk wskazał na oddziaływanie religijno-moralne i współpracę świetlicy ze szkołą i domem.

Jak widać z programu, kurs przygotowany był z pełną dbałością o rzeczywiste jego wyniki.

K.

DO CZYTELNICZEK

Rok Nowy!

Wspomnienie wczorajszego zła jest bezsilne wobec wiary w lepsze jutro. Wierzmy więc święcie, że ono za naszem umocnieniem woli, za duszy doskonaleniem, wzejdzie dla nas i powtarzajmy za wielkim Poetą prośbę do Pana:

„Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.

Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi;
niechże w nie duch Twój wstąpi
i śpiące niech pobudzi.

Niech się Królestwo stanie
nie krzyża lecz zbawienia.
O daj nam, Jezu Panie,
swą Polskę objawienia".

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. H. Hoffmanowej, St. Czeremcha, za wyrazy uznania dla naszej pracy, zasyłamy z serca — Bóg zapłać. Niema nic przyjemniejszego dla publicysty, jak znaleźć echo u Czytelników. Irenka niech się zdrowo chowa i zawsze cieszy się tak szczerze książką, jak tą, którą jej posłaliśmy.

P. Marji Błaszczykównie z Łodzi. Książeczkę wyślemy, choć może zajść tym razem pewne nieporozumienie, bo nie otrzymaliśmy dokładnego określenia wieku naszej miłej korespondentki.

Pannie Anieli z Zamościa. „Zmilknijcie pieśni, wstańcie czyny moje" mówi poeta. Musimy to sobie ciągle przypominać. Chęci dobre znaczą wiele, ale nie wszystko. Więc bez straty czasu, niech pani zacznie swą pracę, a byle ją dokładnie pełnić, plon wydać musi.

Praktycznej. Plamy z cukru, syropu, jeśli świeże, wystarczy wycierać gąbką maczaną w gorącej wodzie, w której cukier się rozpuści. Potem wytrzeć suchym płóciennym płatkiem.

Pani W. M. Normalny czas trwania okresu sejmowego, nazywa się **kadencją**, wynosi lat pięć, licząc od dnia otwarcia Sejmu.

P. Marji Lasockiej w Opocznie. Na każde pytanie Szanownych naszych Czytelników z całą gotowością pragniemy znaleźć odpowiedź. Żadne nie wydaje się nam błahe i żadne nas nie „nudzi", jak to Sz. pani przypuszcza. Przeciwnie, nawiązuje się tym sposobem ściślejszy kontakt między Redakcją pisma a Czytelnikami, co jest i pożądane i pożyteczne. Otóż dzisiejsza Rzeczpospolita liczy 388.279 kilometrów kw. i zajmuje wśród państw europejskich szóste miejsce z rzędu. **Dużo jest na tej przestrzeni do zrobienia w każdej dziedzinie, a tylko wspólny wysiłek utrzymać może powagę wielkiego państwa, jakiem jesteśmy.**

Pani Kaz. Kub-ej z K... Spostrzeżenie zupełnie słuszne. W przyszłości będziemy poświęcali więcej uwagi takiego rodzaju artykułom. Za słowa uznania dla Rodziny Polskiej jesteśmy szczerze wdzięczni. Prosimy z pismem naszem zapoznać koła znajomych.

Pan Ch-a. Wadowice. Wiersz niestety spóźniony.

Pan Bol. Ba-ch. Lublin. Numery wysłaliśmy. W przyszłości prosimy reklamować na poczcie.

Panu Aleks. Domoradzkiemu w Sokółce. Wyjaśnienie i datę znajdzie Pan w tym samym zeszycie, w artykule „Na falach czasu".

Pani M. Zwolskiej w Dąbrowie Górniczej. Wiersz w zapasie.

KĄCIK DLA DZIECI

ŻYCZENIE.

Stary rok spracował się już bardzo przecie,
Dwanaście miesięcy chodził po tym świecie,
Teraz sobie w niebie za piecem usiędzie
I z innemi rokami pogwarki wieść będzie.
Nowy roczek idzie ku nam tak wesoło,
Uśmiech ma na ustach, jasność sieje wkoło,
Niech i wam ten roczek darów swych udzieli:
Byście byli grzeczni, zdrowi i weseli,
Skorzy do zabawy, skorzy do książeczki
I by was cieszyły te moje bajeczki.

H. R. CH.

O SZEWCU DRATEWCE

W starym domu na facjatce mieszkał mistrz Dratewka. Szył on buty i buciki, jak nikt inny na całem Starem Mieście, ale częściej przyprawiał łaty i podbijał zdarte obcasy, wzdychając przytem często-gęsto:

— Tyle sztuki, tyle nauki i nawet pies kulawy butów nie zamówi, łaty tylko kładź człowieku. Już mi to przebrzydło.

Pewnego dnia rozległo się cichutkie stukanie: puk, puk, puk. Proszę otworzyć. Skoczył mistrz Dratewka ku drzwiom, otwiera, a tu przez próg kurka i kogut wskakują. Zadziwił się srodze Dratewka, aż z tego zdziwienia na zydelku przysiadł, a oczy tak wytrzeszczył, że mało mu z głowy nie uciekły.

A tu kogut na środku izby staje, pięknie się kłania i w te słowa się ozwie:

— Imci panie, sława twa mistrza szewskiego na wszystkie strony się rozchodzi, aż i do uszu mych doszła, a że mi się już szpetnie buty zdarły, przychodzę, abyś mi, mości Dratewko, buty godne uszył. Niech będą z żółtego safjanu, po kolana, a grającą skórkę dołóż, by ozdobnie skrzypiały, i ostrogami przyozdób, a dla Jejmości mojej ciżemki uszyj ładne, bo strasznie nieboga drze pończochy w ziemi grzebiąc. Spiesz się tylko dobrze, a hojnie ci wynagrodzę i jeszcze znajomkom porekomenduję. A teraz miarę bierz.



Na pierwszym śniegu.

Wziął miarę Dratewka wciąż jeszcze ochłonąć nie mogąc ze zdumienia, a nim oprzytomniał już kurki z kogutem nie było.

Uszył tedy mistrz Dratewka buty nad podziw piękne, a dla ciżemki jejmości podkuł na pięcie, by grzebiąc w piasku obcasów nie zdzierała.

Po jakimś tygodniu znów kurka z kogutkiem się zjawili, buty przymierzyli, z zadowolenia głowami pokiwali, a kurka jako zapłatę szczerozłote jajeczko zniosła.

Na drugi dzień wspaniała kareta zajeżdża przed dom Dratewki, za chwilę drzwi się na facjatce otwierają, wchodzi znów kogut ostrogami pobrzękując i powiada:

— Ja nadworny przepowiadacz pogody króla Imci wzywam cię, mości Dratewko, byś ze mną jechał Królowi miarę na buty brać.

Zdumiał się mistrz Dratewka, ale że o swoim kunszcie wysokie miał mniemanie, więc nie pytając wiele godnie się przyodział i do złocistej karocy z kogutem siada. Przyjechali przed zamek królewski, straż broń prezentuje, strojny dworzanin wychodzi i na pokoje do króla jegomości ich wiedzie.

Skonił się głęboko Dratewka, a król łaskawie nań berłem kiwa. Spojrzy Dratewka: król jak król, w płaszczu gronostajowym i w koronie na głowie, ale na nogach, pożal się Boże, ma ze słomy niezgrabne papucie.

— Mój Dratewko — król powiada — uszyj mi buty jakowe, popatrz w czem ja chodzę, skusiło mnie licho, żem zamiast swojakowi buty szyć kazał, zamorskie trzewiki sprowadziłem, i tak teraz ukarany jestem, że w tych papuciach chodzić muszę.

Uśmiechnął się Dratewka: Ja już jasnemu królowi wygodzę powiada.

Zaprowadzili go do izby, gdzie wszystko przygotowane zastał, a co chwila paź się zjawiał, jedzenie lub kielich wina na pokrzepienie sił mu przynosząc.

Szył Dratewka dzień jeden i drugi, przykrawał, przymierzał, aż gdy trzeci zaświtał poranek przed królem staje, pięknie się kłania i buty podaje, mięciutkie, leciutkie z złotogłowiu uszyte, wewnątrz puchem wysłane, na czerwonych obcasach, z brylantowemi sprzączkami.

Król jak buty zobaczył, to aż się do nich roześmiał, a jak je przymierzył, to przytupnął wesoło i zaraz oberka chciał tańczyć.

Dratewkę sowicie wynagrodził, tytułem „mistrza nad mistrze" i orderem złocistego buta obdarował.

Odtąd mistrz Dratewka opędzić się nie mógł robocie i już butów łatać nie miał czasu, ku wielkiej swojej radości a utrapieniu sąsiadów.

H. Rostafińska-Choynowska.

Wydawcy: **Stow. Mis. Księży Pallotynów.** Redaktor odpowiedzialny: **Leon Radziejowski.**
Redaktorka działu kobiecego: **Lucyna Kotarbińska.**

Wykonano w Drukarni Domu Prasy Katolickiej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

DZIAŁ KOBIECY.

KĄCIK DLA DZIECI.

SPIS ILUSTRACYJ.